



Galeria

012



024



056



004

OD REDAKTORA

Joanna Wroczyńska

024

CHOPIN WIECZNIE ŻYWI

Kod Ambrożego Mieroszewskiego

Piotr Mysłakowski

040

NA ZDROWIE

Ewelina Penconek

006

DROGOWSKAZY

Gdzie ci mężczyźni (...)

Agnieszka Czapczyńska

030

OPOWIADANIE KONKURSOWE

Moje życie nie zawsze (...)

Zbyszek Strugała

042

WYWIAD

Chcieć to móc

Kasia Bożyk

012

BEZKRESY

W sercu Azji Centralnej

Waldemar Ławecki

034

CZAS NA CZAS DLA NAS

Po 2 takie ładne coś

Grażyna A. Rogala

046

WIEDŹMA

powieść w odcinkach cz. XXIII

Kasia Bartsch-Cielebon

020

NA PAPIERZE

Gabriela

Kasia Bartsch-Cielebon

036

GUZIK

Galeria

Klaudia Ofiara

056

ZAKŁADKA

Przeklęta poetka

Listy z podróży

Agata Wiśniewska

058



058

Nic nie dzieje się przypadkiem

Anna Jankowska

062

BAJKI NOWE

Sen

Ianina Hahula

064

ŻAK

Pobieżnie

Paweł Radźko

066

Przyczynek do Galerii

Monika Mikołajek

068



067

Co ja poradzę na to (...)

Karolina Kapusta

068

SZORT MAT

Jak kolorujemy niebo?

Michał Lewandowski

070

BABEL

La pastèque / Arbuz

Mintoft

MY TRAVELS / MOJE PODRÓŻE

Rapperswil - The City of

Roses / Rapperswil - Miasto Róż

Agnieszka Thomassen

Wydawca

Stowarzyszenie Pi-stacja

Stowarzyszenie Pi-stacja

biuro@pi-stacja.org

gazetownia@pi-stacja.org

www.gazetownia.eu

Dział zagraniczny Babel

Beata Witkowska

info@gazetownia.eu

Zespół Redakcyjny

Katarzyna Bogucka

Joanna Dudek- Ławecka

Joanna Wroczyńska

Jolanta Wroczyńska

Foto

Katarzyna Bogucka

Waldemar Ławecki

Marek Pływaczyk

Artur Radźko

Agnieszka Thomassen

Ilustracje

Aleksander Bogucki (pingwin)

Mintoft (logo Chopin)

Paweł Siwochowicz (wiedźma)

Opracowanie graficzne i skład

Agnieszka Maślanka

Współpraca techniczna

Agnieszka Betkier

Patronat Medialny

Pi-stacja Media

Wydawnictwo zastrzega,
iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych
w piśmie Gazetownia bez zgody
Wydawcy jest zabronione na
podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b
prawa autorskiego.

Copyright

Stowarzyszenie Pi-stacja 2013



Od redaktora

Kiedys galeria to było miejsce na spotkanie ze sztuką, najczęściej nowoczesną, ale można było w niej znaleźć ciekawe wypowiedzi twórców o świecie: portrety, pejzaże, martwą naturę lub kreskę na niebieskim tle, która niekiedy dawała do myślenia. Dzisiaj w dużych miastach galerią nazywamy dom handlowy z różnymi sklepami pod jednym dachem, w którym można zrobić zakupy dla całej rodziny albo po prostu spędzić czas. Czasami obserwuję snujących się po piętrach ludzi. To dopiero różnorodna galeria postaci, portretów i emocji. Nieustanna gra i walka, w której uczucia uwidaczniają się najczęściej dwubiegunowo: radość miesza się ze smutkiem, a miłość z nienawiścią. Kolorowe zakupy, obiad, kino, game over, wrócimy za tydzień.

Zbliżają się święta, kilka dni wolnych, by pojechać do rodzin, odwiedzić groby najbliższych zmarłych. Cmentarz to też galeria pomników, nagrobków, kwiatów i zniczy o coraz bardziej dziwnych kolorach i kształtach, choć daleko im ciągle do sztuki. We Wszystkich Świętych i w Zaduszki po cmentarzach spacerują całe rodziny: kupują kwiaty, znicze, ustawiają na grobach, zapalają i wspominają najbliższych. Na jesienne rozmyślenia o życiu zapraszamy do lektury, a w naszej Galerii m.in.: wycieczka do Kirgizji i opowieści o Rapperswilu, galeria portretów rodziny Chopina, opowiadania i powieść w odcinkach, rozmowy o przemocy i tym, że „chcieć to móc”, pomysły na wspólne spędzanie czasu z przyjaciółmi, o zdrowiu, modzie i książkach, a także przyczynek do „Galerii Potworów” Agnieszki Osieckiej. Kto chce, niech czyta!

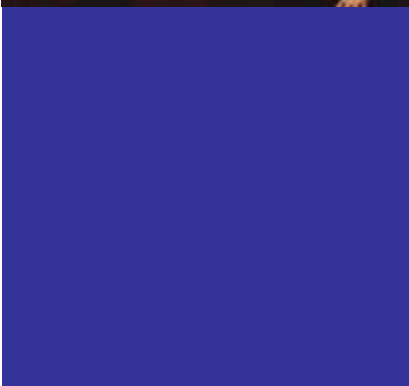
Joanna Wroczyńska



Twoją
myśl
przekażemy
innym...



Na Twoje
pytanie
poszukamy
odpowiedzi



gdzie ci
MĘŻCZYŹNI,
prawdziwi
tacy...?

Agnieszka Czapczyńska





Agnieszka Czapczyńska - psychoterapeutka, pracuje metodami terapii przez sztukę i psychologii zorientowanej na proces, specjalistka w zakresie przeciwdziałania przemocy w rodzinie, trenerka warsztatu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Od kilkunastu lat zajmuje się terapią oraz warsztatami rozwoju osobistego dla kobiet. Współtwórczyni Fundacji Miejsce Kobiet; Nowy Świat Kobiet.

- Miesiąc tymczasowego aresztu zastosował sąd wobec Daniela R. 26-latek został zatrzymany przez policjantów po zgłoszeniu przez rodzinę kierowanych wobec nich gróźb. Wszystko zaczęło się od zgłoszenia przez matkę Daniela, zachowania jej syna wobec członków rodziny. Podczas rozmowy z kobietą policjanci ustalili, że 26-latek często jest agresywny wobec niej oraz osób mieszkających w tym samym domu. W ostatnim czasie rodzina najbardziej obawia się kierowanych wobec nich gróźb zabójstwa, pobicia i spalenia domu.
http://kppgrodzisk.policja.waw.pl/portal/pgm/2/38102/Od_5_lat_grozil_rodzinie.html
- Jan G., został zatrzymany podczas świąt Bożego Narodzenia podczas awantury domowej. Jego 29-letnia córka twierdziła, że ojciec gwałcił ją, odkąd skończyła 15 lat. Prokuratura dała wiarę zeznaniom kobiety i postawiła mężczyźnie trzy zarzuty zgwałcenia córki w latach 2001-2010. Sąd aresztował mężczyznę na dwa miesiące. W trakcie śledztwa córka, żona i pozostałe dzieci Jana G. odmówili składania kolejnych zeznań, prokuratura umorzyła śledztwo.
<http://nasygnale.pl/kat,1025343,title,Corka-zmyslila-ze-gwalcil-ja-ojciec-Sledztwo-umorzono,wid,13590075,wiadomosc.html?icaid=610e2a>

• Policjanci zatrzymali trzech mężczyzn mających związek z uprowadzeniem i pobiciem mieszkańca jednej z podwarszawskich miejscowości. 22-letni Krystyn D., 23-letni Sebastian D. i 19-letni Sebastian K. uprowadzili mężczyznę, wywieźli go do lasu, a następnie pobili kopytami i uderzając trzonkami od siekiery oraz ranili nożem.
http://www.policja.pl/portal/pol/1/69296/Odpowiedza_za_uprowadzenie.html

• Zaledwie jednego dnia potrzebowali policjanci do ustalenia i zatrzymania sprawcy rozboju. 22-latek, który pobił mężczyznę i zabrał mu zegarek, wpadł dzięki spostrzegawczości funkcjonariuszy. Kilkakrotnie karany wcześniej Kamil S. tym razem odpowie za rozboj. To przestępstwo zagrożone jest karą nawet 12 lat więzienia.
http://kppgrodzisk.policja.waw.pl/portal/pgm/2/40791/Sprawce_rozboju_rozpoznali_po_tatuazu.html

Co łączy wszystkie te historie? Po pierwsze wydarzyły się całkiem niedawno, gdzieś w Polsce, może wśród nas, może wśród naszych sąsiadów... Po drugie dotyczą aktów przemocy. Po trzecie sprawcami lub głównymi podejrzanymi są mężczyźni. Statystyki policyjne pokazują, że większość sprawców wszystkich aktów przemocy, w tym przemocy rówieśniczej i przemocy w rodzinie, to dorastający chłopcy lub mężczyźni.

Skąd się biorą sprawcy?

W potocznej opinii są to „zwyrodnialcy”, „psychopaci”, „osoby chore”. Statystyki mówią, że prawda jest inna. W przypadku przemocy w rodzinie i przemocy rówieśniczej, większość sprawców to zdrowi psychicznie, normalni, żeby nie powiedzieć „przeciętni” mężczyźni i chłopcy. Tacy, których spotykamy na dworcu PKP, mijamy na spacerze z psem, witamy w piekarni... Mit, o znęcającym się psychopacie, jest społecznym mechanizmem obronnym, służącym zaprzeczaniu bolesnej prawdzie, że żyjemy w kulturze, która

traktuje różne formy władzy i dominacji mężczyzn jako normalną formę relacji. Źródłem przemocy mężczyzn wobec kobiet, dzieci czy innych mężczyzn, są obowiązujące w naszej społeczności i przekazywane z pokolenia na pokolenie, wzorce męskości oparte na sile, dominacji, agresji, nie liczeniu się z perspektywą i emocjami innych.

Nikt nie rodzi się ani sprawcą, ani ofiarą przemocy...

Jesteśmy społecznie socjalizowani do różnych ról. Chłopcy i mężczyźni, którzy stosują przemoc, są produktem naszej kultury, która za pośrednictwem rodzin, mediów i całej rzeczywistości społecznej uczy, że bycie „prawdziwym mężczyzną” to walka o utrzymanie władzy i kontroli nad innymi. Mit o „sprawcy psychopacie”, uwalnia nas od konieczności stawiania sobie niewygodnych pytań. A jest ich wiele... Na ile wszyscy mężczyźni, podtrzymujący swoją postawą wzorzec męskości oparty na dominacji nad innymi, przykładają się do trwania przemocy? Na ile milczenie świadków, zarówno mężczyzn jak i kobiet, jest współuczestnictwem w przemocy? Na ile dziewczyny i kobiety akceptujące wzorzec męskości oparty na władzy i kontroli, motywują swoich partnerów do podtrzymywania tej fasady? W jakim rozmiarze powszechne korzystanie z kultury przemocy (np. gier komputerowych, filmów czy muzyki promujących przemoc) jest naszym zbiorowym wkładem w powtarzający się w każdym pokoleniu ten sam cykl?

Co z mężczyznami, którzy nie krzywdzą?

Bardzo wielu (statystycznie znacząca większość) mężczyzn nigdy nie było i nie będzie sprawcami przemocy. Przekonanie, że skoro tego nie robią, problem przestaje ich dotyczyć, jest tylko iluzją. Przemoc dotyka pośrednio i bezpośrednio wszystkich. Ruch na

rzecz przeciwdziałania przemocy w rodzinie zainicjowały na całym świecie przede wszystkim kobiety, które solidaryzując się z ofiarami przełamały mur milczenia, zaczęły tworzyć miejsca pomocowe dla ofiar, lobbować na rzecz tworzenia przepisów prawa penalizujących przemoc. W trakcie życia kilku ostatnich pokoleń sytuacja ofiar uległa dużej zmianie. Zmianie nie uległo jednak meritum problemu – kolejna generacja chłopców wyrasta na mężczyzn, z których pewna część krzywdzi lub będzie krzywdzić. Niestety, żadna ideologia psychologiczna czy ruch kobiecy na rzecz zatrzymania przemocy nie jest w stanie wpłynąć na zmianę kulturowych wzorców bycia „prawdziwym” mężczyzną. Tymi, którzy są w stanie trwale zmienić tę rzeczywistość są mężczyźni. Tylko mężczyźni mogą nauczyć chłopców jak korzystać z własnej siły, tak aby nie była ona krzywdząca dla innych. Nie zrobią tego kobiety czy instytucje pomocowe. W USA narodził się kilkanaście lat temu ruch mężczyzn przeciwko przemocy. W Polsce także coraz częściej słychać odważnych i gotowych do zmiany stereotypów mężczyzn. Może to naprawdę początek nowego...

AC



FUNDACJA NOWY ŚWIAT KOBIEC

NA NOWEJ ŚCIEŻCE ŻYCIA

**WARSZTATY
EDUKACYJNO - ROZWOJOWE
DLA matek**

Program przeznaczony jest dla kobiet, które borykają się z emocjonalnymi skutkami przemocy i pragną rozwijać pozytywną relację z dzieckiem

**FUNDACJA NOWY ŚWIAT KOBIEC,
UL. GAŁCZYŃSKIEGO 3 m.12**

ZAPRASZA NA

**4 WEEKENDOWE SPOTKANIA WARSZTATOWE:
5-6, 26-27 PAŹDZIERNIKA, 23-24 LISTOPADA
ORAZ 14-15 GRUDNIA 2013
W GODZINACH 10.00-18.00**

Podczas warsztatów uczestniczki dowiedzą się m.in. jak odbudować poczucie własnej wartości, stawiać zdrowe granice w relacjach z innymi, jak przekraczać trudne emocje związane z doświadczoną przemocą i szukać wzorców budowania relacji opartych na szacunku i jak wspierać własne dzieci.

Prowadząca:

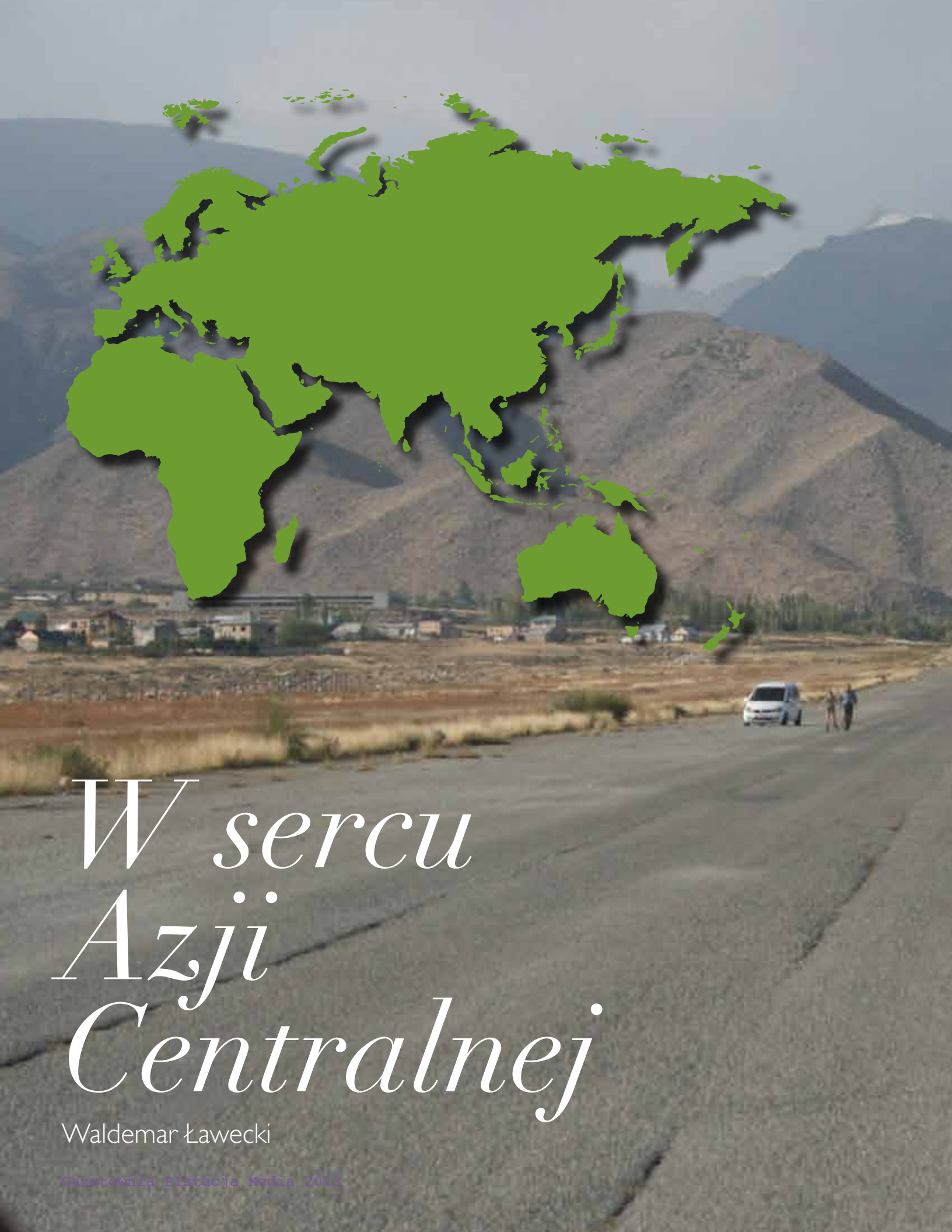
Agnieszka Czapczyńska – psychoterapeutka, trenerka warsztatu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, arteterapeutka, specjalistka w zakresie pomocy ofiarom przemocy w rodzinie. Rozmowy kwalifikujące po uprzednim ustaleniu telefonicznym **606 406 555** lub mailowym: czapczynska@nowyswiatkobiet.pl.

UCZESTNICTWO W WARSZTATACH BEZPŁATNE

Program finansowany ze środków Urzędu m.st. Warszawy Dzielnicy Śródmieście

Projekt finansuje m.st. Warszawa





W sercu Azji Centralnej

Waldemar Ławecki

Gazetownia Płatacja Media 2013



Kraj ten to niewątpliwie samo serce Azji Centralnej, którego bogactwem, ale i przekleństwem są góry, stanowiące 94% jego terytorium. Wysokie ośnieżone wierzchołki, ale i woda niezbędna do życia i pozyskania energii; kopelanie uranu i elektrownie wodne powodowały, że w sowieckich czasach swobodny dostęp przybyszów z zewnątrz był wykluczony.

Góry i doliny tak tutaj liczne, to terytoria koczowniczych poczynąń mieszkańców tych ziem – Kirgizów. Nie wytworzyli oni wielkiej kultury, nie zbudowali oszałamiających ośrodków miejskich, ale zawsze żyli w zgodzie z naturą. Byli i są znakomitymi jeźdźcami, polują z orłami, hodują owce, bydło i konie. Piją kumys, jedzą biszbarmak i wyrabiają barwne szyrdaki. I to oraz Manas jest ostoją ich narodowej tożsamości.

Kumys to sfermentowany, lekko alkoholowy napój z kobyłego mleka. Jadąc drogami w pobliżu pastwisk, czy będąc na targowiskach, można nabyć go w znanym nam opakowaniu po coca-coli. Jednakże turystów miejscowi przestrzegają przed jego nadmierną konsumpcją,

gdyż nieprzwykłym żołądkom może uniemożliwić dalsze podróżowanie, a toalet za wiele nie ma... Byszarmak to tradycyjne danie – makaron z kawałkami mięsa, a nazwa oznacza pięć palców, ponieważ w ten sposób należy konsumować to danie. Do innych typowo kirgiskich potraw należy szorpo – zupa z ziemniakami, marchwią i baraniną oraz manty – czyli jakby pierogi z mięsem baranim, znane także w wielu ościennych krajach. Szyrdaki natomiast to tradycja typowo kirgiska. Jest to rodzaj jakby dywanu filcowego, sporządzonego przez kirgiskie kobiety z ręcznie wytworzonego bardzo mozolnie filcu. Kawałki filcu są zszywane, a na końcu całość zwieńczona jest obszyciem.

Głównym elementem tożsamości jest jednak Manas. To twórczość literacka o niespotykanej objętości. Jest dwudziestokrotnie dłuższy od Iliady i Odysei razem wziętych. Najciekawsze jest to, że utwór przekazywany był ustnie z pokolenia na pokolenie, a spisany został stosunkowo niedawno, zaś znający utwór w całości stawali się bohaterami narodowymi.

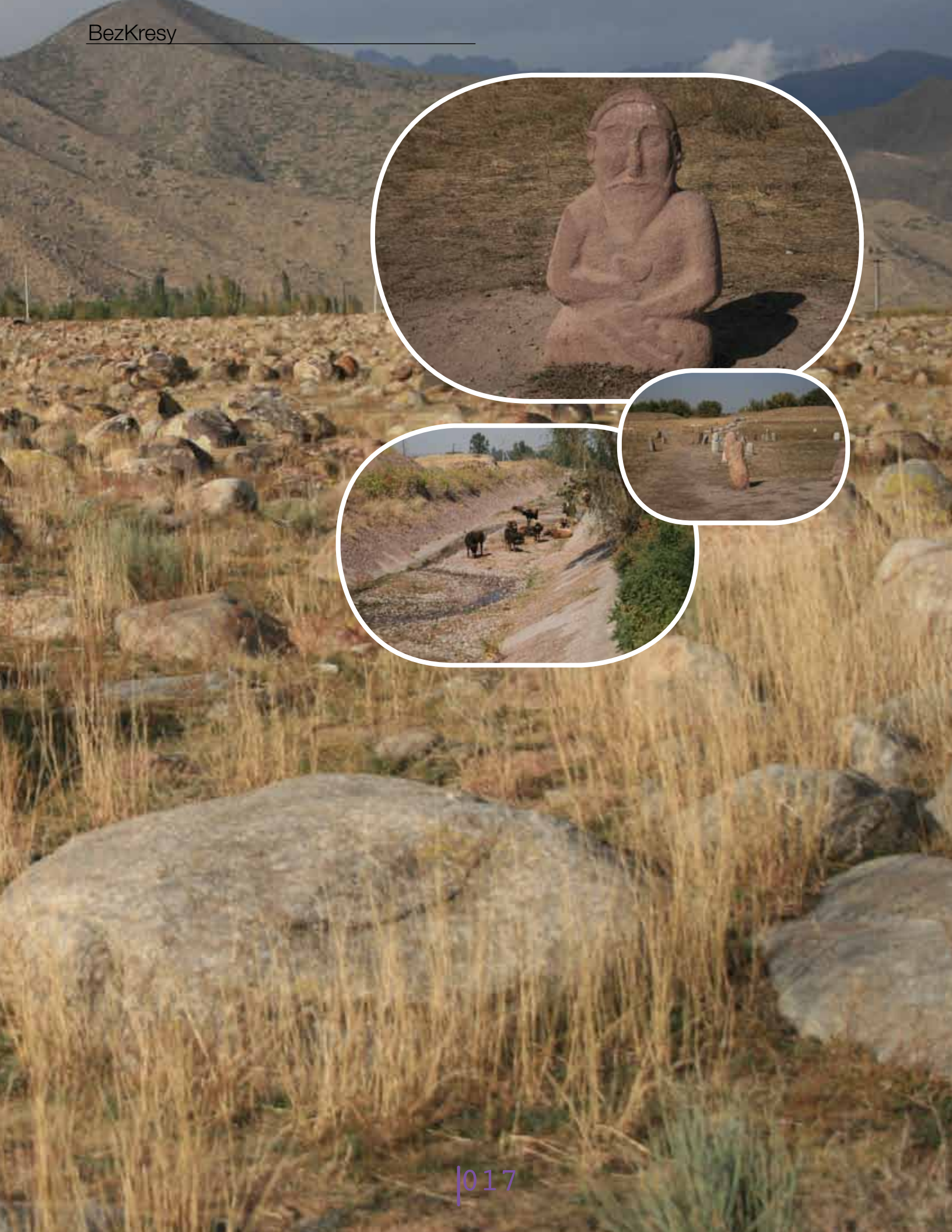






Wszyscy ich znali i otaczali powszechnym szacunkiem. Sam utwór jest zbiorem opowieści o początkach narodu Kirgizów, o losach ich legendarnego przywódcy Manasa, jego żony i syna. Już w XIV wieku w pobliżu dzisiejszego miasteczka Tałas wystawiono mu fikcyjne mauzoleum, a pomnik tego bohatera narodowego zajmuje prestiżowe miejsce w stolicy – Biszkeku, obok „Białego Domu” i filharmonii. W muzeum narodowym nazwiska ustnie przekazujących Manas, ich życiorysy i współczesne wydania drukowane, zajmują sporą powierzchnię. Muzeum jest ciekawostką samą w sobie. Obok wykopalisk, wytworów rękodzieła kirgiskiego, także z szyrdakiem, pozostała dekoracja z radzieckich czasów sławiąca socjalistyczny rozwój kraju i przenikanie życia Słowian do tradycyjnych jurt i odwiecznych zwyczajów...

Styl tradycyjnego kirgiskiego życia odradza się na nowo. Zamiast syntetyków z radzieckich czasów wraca się do naturalnych barwników dla wytwarzania szyrdaku oraz do niezbyt ortodoksyjnego islamu. Dekomunizacja zrzuciła z postumentów Dzierżyńskiego i innych wodzów, ale Lenina jedynie przeniesiono w mniej eksponowane miejsce. Frunze, generał Armii Czerwonej urodzony w tym kraju, do niedawna patronujący





swym nazwiskiem (od 1926 do 1991) stolicy kraju, nadal ma swój domniemany domek przykryty jakby marmurowym baldachimem w centrum obecnego Biszkeku – dokładnie tak jak zrobiono to w Gori w Gruzji dla Stalina. Jednakże współcześni coraz głośniejszymi przypominają, że Frunze na czele sotni czerwonoarmiejców zdusił powstania w Chiwie, Bucharze w Uzbekistanie, a także miejscowych basmaczy.

Kirgizi są gościnni i spokojni. Żyją zgodnie z naturą i nie starają się agresywnie wprowadzać nowych porządków. Godzą się na olbrzymią korupcję i wytworzyli nawet jakby odrębny system funkcjonowania z łapówkami, ale jednak Rewolucja Tulipanów z 2005 roku i kolejne demonstracje pięć lat później pokazują, że Kirgizi marzą o normalnym kraju.

Kirgistan to Szwajcaria Azji Środkowej. Góry pokrywające ten kraj w wielu przypadkach przypominają Alpy. Turkusowe jezioro Issyk-Kul, niezamarzające „morze kirgiskie” z piaszczystymi nabrzeżami, to prawdziwa azjatycka perła. Góry, doliny, trasy dla piechurów, rowerzystów i jeżdżących konno w kraju nie skażonym nachalną cywilizacją, zachęcają do przyjazdu turystów i zobaczenia tej ciągle naturalnej przyrody.

WŁ
FOT Waldemar Ławecki





Gabriela

Kasia Bartsch-Cielebon

Ciszę galerii zmaćił brzęczyk telefonu. Dziewczyna siedząca na miękkiej pufie spojrzała na wyświetlacz. Tomek. „Gdzie jesteś?”. Popatrzyła na twarz Jezusa frasobliwie opartą na dłoni. Zastanowiła się, czy na pewno chce odpowiedzieć na ten sms. „W galerii” wystukała szybko. Nie powinna tyle się nad tym zastanawiać. Albo go kocha, albo nie. Problem polegał na tym, że naprawdę nie wiedziała. Niecały kwadrans później Tomek zajął miejsce obok niej.

– Co robisz? – zapytał całując ją na powitanie.

– Myślę sobie – wyczuła jakieś napięcie w jego głosie. Naprawdę tak niewiele potrzeba, aby wyczuć, czy druga osoba jest szczęśliwa, zadowolona, czy wręcz przeciwnie. Tomek był zdenerwowany. – Coś się stało? –

zapytała bez wstępów.

– Nie. Wykładu nie było, bo Dziadek musiał gdzieś jechać. No i tak pomyślałem, że cię odszukam. – Uśmiechnęła się. – Mogłem się właściwie domyśleć. O czym myślisz? – nawiązał do początku rozmowy.

– A tak różnie – ona też się zdenerwowała. Zapanowała nagła cisza, nie zmaćona nawet krokami zwiedzających, bo jakoś o tej godzinie i w tej części galerii ich nie było. Tylko Jezus frasobliwie patrzył na nich swoimi rzeźbionymi oczami. Tomek rozejrzał się po sali. Nagle ukląkł.

– Czy zechcesz zostać moją żoną? – zapytał, wpatrując się z natężeniem w jej twarz. Zaskoczona otworzyła usta. Tak właściwie to spodziewała się, że kiedyś to nastąpi. Ale i tak ją zaskoczył. Chciała zapytać: ja?

Ale doszła do wniosku, że byłoby to pytanie bez sensu. „Jezu i co ja mam teraz zrobić?”

– Nie wiem – odpowiedziała cicho

– nie wiem. Właśnie dopiero co o tym myślałam. Nie wiem. Ja naprawdę nie wiem – tak bardzo nie chciała go skrzywdzić.

– Chciałabym, żebyś był szczęśliwy, a wcale nie wiem, czy ja...

– zawahała się – podnieś się z tych kolan – poprosiła.

– Najpierw się zgódź – powiedział. Pokręciła głową.

– Porozmawiajmy – poprosiła i próbowała go podnieść za ramię – najpierw porozmawiajmy.

– O co chodzi? – zapytał niechętnie, podnosząc się i siadając obok. Jezus patrzył swoimi frasobliwymi oczami. Zagryzła wargi. Jak mu to powiedzieć? Powinna być szczęśliwa. Skakać z radości. Wzlatywać pod chmury. I przynajmniej czuć te osławione motylki w żołądku. A tu nic.

– Bo... co to jest miłość? – poczuła jakby nagle złapała koło

ratunkowe. Pokręcił głową.

– O co ci chodzi? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Co to jest miłość? – powtórzyła.

– Mam ci odpowiedzieć tak poetycko, czy tak jak ja myślę?

Uśmiechnęła się.

– Tak jak ty myślisz.

– No dobra – nie był zachwycony takim pytaniem. Zastanowił się – no dobra. Miłość, to jest taki stan ... człowieka, no może ducha – poprawił się – kiedy tej osobie, którą się kocha życzy się jak najlepiej. Dbą o nią. Troszczy. Chce się, żeby była szczęśliwa. Nawet kosztem...

– zamilkł – no, nawet kosztem własnego szczęścia – nagle załapał. Popatrzył na rzeźbę Jezusa Frasobliwego – to nie jest twoja droga – powiedział nagle ochrypłym głosem – ja wszystko rozumiem, ale wiem, że to nie jest twoja droga.

– Skąd wiesz? – spojrzała zaskoczona.

– Nie możesz... nie to, nie to, że nie możesz... Dobra – wyczuła, jak



bardzo skoczyła w nim adrenalina – przetarł twarz dłońmi – jak wiesz Jezus był bardzo – zastanowił się nad odpowiednim słowem – był bardzo niestandardowy – patrzyła z uwagą – zachowywał się tak, że większości żyjących w jego czasach nieźle chodziła żyła – podniósł rozłożone palce.

– No, wkurzający był... Jest – poprawiła się.

– No właśnie – przytaknął – szukał różnych rozwiązań. Uzdrowiał. Nauczał. Wskrzeszał. Wnerwiał się. Pościł. O, rany. Umarł. Zmartwychwstał. Dużo. No, różnie. No jednym słowem chciał... nie chciał... pokazywał sobą właściwą drogę – słuchała uważnie – możesz iść do zakonu. Możesz. Pewnie. Ja zrozumieć. Jeżeli tak będziesz chciała... – umilkł. – Ale to nie jest jedyna droga. Jest jeszcze małżeństwo – powiedział cicho. Poczula, że tak naprawdę to chce, aby ją przekonał. Jezus patrzył frasobliwie. – Wymyślone przez Boga. Dopełnienie. Kobieta i mężczyzna. Dwie różne natury. Współdziałanie. Wzajemne wsparcie. Zrozumienie. Miłość.

Dzieci. Bo muszą być dzieci, aby dalej ta miłość się rozwijała. Ten taki rodzinny Kościół. Najmniejszy i tak naprawdę najmocniejszy – zamilkł – to wymyślił Bóg. Adam i Ewa. Dopiero później pojawiło się życie zakonne. – Jezus patrzył frasobliwie. – Zostań moją żoną – uklęknął – ja nie znajdę nikogo... W małżeństwie też możesz pokazywać sobą właściwą drogę.

– Wstań – poprosiła.

– Nie. Nie wstanę, dopóki się nie zgodzisz.

– Oj, wstań.

– No to się zgódź.

– A ty będziesz tak klęczał dopóki się nie zgodzę?

– Tak.

– A jak sobie pójdę?

– Będę klęczał dalej.

– Idę – podniosła się.

– Klęczę.

– Idę – przeszła za jego plecy.

– Klęczę.

Wyszła z sali.

– Poszłam – zawołała zduszonym głosem.

– Klęczę.

Wróciła.

– A jak będziesz żałował?

– Nie będę – roześmiał się, a ona

poczuła jak się odprężył.

– Dobrze. Zostanę twoją żoną

– pokręciła głową nie dowierzając sobie.

Jezus patrzył.

KBC





Kod Ambrożego Mieroszewskiego

Piotr Mysłakowski



I znowu Szanowna Redakcja wymyśliła jako leitmotiv bieżącego numeru termin wieloznaczny: galeria! Pomijając skojarzenia z galernikiem, przykutym do wiosła za straszne przestępstwa, galeria kojarzy się przecież i z wielosklepowym obiektem handlowym, i z balkonem w teatrze, i z miejscem do handlowania dziełami sztuki, a nawet – „galeria wyrobów pończosznich” (bo teraz wszystko jest albo galerią albo salonem). Całe szczęście, że jest jeszcze galeria portretów – co pozwala nam nawiązać dzisiejszą pogawędkę do historii Chopina. Co za ulga!

Od zarania wieków ludzie chcieli uwiecznić dla potomności swój wizerunek: chcieli, żeby w wiele lat po ich przeminieciu wiedzano, jak wyglądali za życia. Wymyślono więc sztuki plastyczne, pozwalające dzięki talentowi artysty uzyskać wizerunek wykuty w kamieniu (rzeźba), wryty w metalowej płytce i odbity na papierze (grafika), czy wreszcie namalowany na płótnie, desce, ceramice czy ścianie (malarstwo). Sztuka portretowa wymagała nie tylko czystej formy, ale i maksymalnego



Mikołaj Chopin



Justyna Chopinowa

podobieństwa do odwzorowywanej postaci, przy czym naprawdę wielcy artyści umieli nie tylko mechanicznie „odwzorować” rysy osoby, ale przekazać jej psychologiczny wyraz. Stąd wielcy portreciści – mimo często zaskakującej formy – tworzyli bardziej portret duszy niż fizycznej powłoki. Takim mistrzem był na przykład Stanisław Ignacy Witkiewicz – czyli Witkacy.

Wynalazek fotografii w latach 40. XIX wieku dawał nadzieję na bardziej „obiektywne” odwzorowanie ludzkiego wyglądu: technika ta miała być pozbawiona interpretacji i przetworzenia modelu przez artystę. Jednak i tutaj wielcy fotograficy potrafili wprowadzić element własnego „widzenia” modelu.

Dla tych, którzy chcieliby wiedzieć, jak wyglądał Fryderyk Chopin mamy dziesiątki jego portretów: im bardziej rosła jego sława, tym częściej go portretowano, także w celach czysto komercyjnych: zwielokrotnione odbitki graficznego portretu sprzedawały się nieźle, dawały się przesłać nawet do odległych krajów, znani malarze tworzyli więc portrety, z których później graficy wykonywali ich czarno-białe wersje do druku. Ale gdy się porównuje te liczne wizerunki, nie zawsze mamy przekonanie, że chodzi tu o tego samego Chopina. Co artysta to inne „widzenie”. Powstaje pytanie, dlaczego Chopin nie korzystał z niedawno wymyślonej techniki dagerotypowej fotografii, by pozostawić potomnym swój „obiektywny” wizerunek? Jedyne zachowane dagerotypy Chopina pochodzą z 1849 roku, roku jego śmierci. Chopin ma tu wyraz człowieka schorowanego, tragicznego. Cóż, taka była prawda.

Jednak dwadzieścia lat wcześniej, na rok przed definitywnym wyjazdem Fryderyka z Warszawy, rodzina Chopinów miała świetny pomysł: dać się sportretować jednemu artyście, w jednym czasie, w jednej serii jednakowego formatu obrazów! Nie wiemy, jakiego rodzaju znajomość istniała między Ambrożym Mieroszewskim, warszawskim portrecistą, a Chopinami. Nie spotykamy bowiem żadnego śladu ich towarzyskiej komitywy. Ale faktem jest, że Mieroszewski stworzył prawie pełną GALERIĘ CHOPINOWSKĄ (prawie, gdyż nie zdążył sportretować zmarłej dwa lata wcześniej najmłodszej Chopinówny – Emilki). Powstały w ten sposób portrety Mikołaja Chopina, Justyny Chopinowej, Ludwiki, Fryderyka i Izabelli oraz – na dokładkę, Wojciecha Żywnego, nauczyciela muzyki. Olejne obrazy miały wysokość mniej więcej 30 cm, były więc niewiele większe od kartki A4.

Dlaczego piszę o nich w czasie przeszłym? Odpowiedź wiedzie nas w kierunku kryminalnej afery o posmaku polityczno-międzynarodowym! Taki mini „Kod Ambrożego Mieroszewskiego” (dla amatorów „Kodu Leonarda da Vinci”...).

Obrazy bowiem znikły w czasie okupacji hitlerowskiej z warszawskiego mieszkania Laury Ciechomskiej, wnuczki Ludwiki Chopinówny (siostry Fryderyka), która odziedziczyła cały zbiór rodzinnych pamiątek po wielkim krewniaku. Z mieszkania znikły także niektóre listy Chopina i jego rękopisy nutowe. Rabuś był człowiekiem wysokiej kultury – znał się na sztuce i znał się na Chopinie. A przede wszystkim znał wartość kolekcjonerską przedmiotów. Musiał więc być



Ludwika Chopinówna
(Jędrzejewiczowa)



Izabela Chopinówna
(Barcińska)

człowiekiem wykształconym i obytym w świecie. Wśród oficerów hitlerowskich było wielu miłośników muzyki, wielu grało w wolnych chwilach na fortepianie – sam generalny gubernator dr Hans Frank, powieszony za zbrodnie w wyniku procesu norymberskiego, grywał Chopina, a w swojej wawelskiej rezydencji urządził wielką wystawę chopinowską!

Przyszło Powstanie i w jego konsekwencji – mściwe unicestwienie miasta. Czego specjalne niemieckie oddziały „oczyszczające” mieszkania wypędzonej ludności z wartościowych przedmiotów nie zdołały „uratować dla Rzeszy” – zostało wysadzone w powietrze lub spalone.

Po wojnie pogodzano się ze stratą chopinowskich pamiątek. Dopóki w latach 70. dwie panie, wśród nich ówczesna kustosz Muzeum Chopina, pani Hanna Wróblewska-Straus, oglądając banalny NRD-owski kryminał telewizyjny, nie zobaczyły zaginionej GALERII na ścianie willi, w której nakręcono ów szpiegowski kryminał! Obrazki były w kolorze, co świadczyło o ich autentyczności, jako że wśród przedwojennych reprodukcji tych portretów jedynie niektóre były kolorowe. Nie mogły więc to być kopie owych przedwojennych reprodukcji. Energiczne poszukiwania drogą służbową, poprzez Ministra Kultury i Sztuki, nie przyniosły rezultatu. Czy bratnia przyjaźń odegrała tu rolę hamującą? Nie udało się bowiem ustalić czyja willa posłużyła NRD-owskim filmowcom jako sceniczne tło akcji filmu. Reżyser już nie żył, dokumentacja planu filmowego zaginęła itp. I tak jest do dzisiaj. Możemy tymczasem



Wojciech Żywny

wyobrazić sobie brakującą historię naszej galerii: kochający Chopina hitlerowiec włamuje się do mieszkania Laury Ciechomskiej, wybiera co lepsze pamiątki i udaje mu się je wysłać do siebie, do domu. Po wojnie nie wszyscy hitlerowcy zostali osądzeni, wielu spokojnie zamieniło się w statecznych emerytów. Nie brakowało wśród nich osób majątnych, mających wille w dawnej strefie radzieckiej, zamienionej na Niemiecką Republikę Demokratyczną – osób, które „ułożyły” sobie życie z komunistyczną władzą. Takie wille, zamożno-mieszczkańskie, o przedwojennym historycznym wystroju, doskonale nadawały się do planów filmowych – a filmowcy zawsze nieźle płacili... Pech chciał, że na ścianach wisiały wojenne łupy z warszawskiego mieszkania pani Ciechomskiej!

Czy kiedykolwiek wyjaśni się perypetie tej galerii chopinowskiej, trudno wyrokować. Obecni właściciele mogą nawet nie wiedzieć, co i kto wisi na ich ścianie, albo obrazki spokojnie leżą w prywatnym domu na drugiej półkuli. Całe szczęście, że przedwojenny chopinolog, Leopold Binental, umieścił ich reprodukcje w swojej książce Chopin. W 120-tą rocznicę urodzin z 1930 roku. Dzięki niemu wiemy, jak malarz Mieroszewski „widział” rodzinę Chopinów sto lat wcześniej!

PM

*Wszystkie portrety
malował Ambroży
Mieroszewski w 1829 roku.
Reprodukcje pochodzą
z książki Leopolda
Binental.*

Moje życie nie zawsze było ustane różami

opowiadanie konkursowe

Zbyszek Strugała

To prawda były i momenty słodkie, pełne radości, ale były też i momenty smutne i kwaśne jak cytryna. Wypadałoby się przedstawić. Nazywam się Zbyszek. Urodziłem się w 1965 roku z dziecięcym porażeniem mózgowym. Rodzice, jak to zawsze bywa w takich przypadkach, początkowo byli w szoku. W końcu postanowili się nie załamywać i zrobić wszystko, by jak najlepiej wspomóc mój rozwój. I tak zacząłem jeździć z nimi do różnych lekarzy, zaczęto mnie rehabilitować. W czasie, kiedy się urodziłem inny był poziom wiedzy medycznej, trudno było znaleźć specjalistę, a tym bardziej dostać się do niego. Brakowało podstawowych informacji o mojej chorobie, a także sprzętu rehabilitacyjnego. Rodzice, którym urodziło się niepełnosprawne dziecko, byli zostawieni sami sobie. Ja, niepełnosprawne dziecko, miałem na szczęście ich.

Kiedy miałem piętnaście lat lekarze ostatecznie orzekli, że nie mam już żadnych szans na to, bym kiedykolwiek mógł chodzić o własnych siłach. Poczułem się tak, jakby mi ktoś serce przebił. Byłem załamany, lecz w końcu, po czasie, dotarło do mnie, że rozpamiętywanie słów lekarzy mi nie pomoże, że trzeba coś zrobić ze sobą, cokolwiek. W tym czasie zacząłem bardzo dużo ćwiczyć z moim Tata w domu. Czasami ćwiczyliśmy wcześniej rano,

a czasami wieczorami. Wtedy, gdy Tata znalazł czas. Ciężkie to były czasy dla naszej rodziny! Tata ciężko pracował, by utrzymać naszą rodzinę, mama zajmowała się dwójką mojego młodszego rodzeństwa, domem i popołudniami pracowała na pół etatu. A życie w tamtych czasach nie należało do łatwych. Długie kolejki w sklepach, żywność i inne rzeczy na kartki. Wiele razy mama stała w sklepie po kilka godzin, aby cokolwiek kupić...

Do roku 1984 mój stan zdrowia nie ulegał poprawie, ale nadal ćwiczyłem, by utrzymać minimalną sprawność, którą posiadałem. Poruszałem się przy pomocy drugiej osoby trzymającej mnie za rękę – to był sukces, bo choć w ten sposób potrafiłem chodzić! Potrafiłem też przemieszczać się na czworakach – pewnie inny nastolatek nie cieszyłby się z tego, ale dla mnie to był choć ślad samodzielności! Na dworze korzystałem z roweru na trzech kołach, jeździłem odpychając się nogami. Czasami w niedzielę chodziłem z Tata na małe spacerki nad Wartę lub do lasu, lubiłem gdy towarzyszyła nam cała nasza rodzina.

Latem w 1984 roku w moim życiu wydarzyło się coś niezwykłego. Coś o czym już przestałem marzyć i myśleć. Coś, co w świetle lekarskich opinii nie miało prawa się nigdy wydarzyć.

Mając 19 lat i 10 miesięcy zacząłem sam chodzić. Najpierw bardzo wolno i niezdarne, a potem coraz lepiej. Mogłem w końcu wstać i pójść tam, gdzie miałem ochotę. Nie da się opisać tego uczucia wolności, tego nie zrozumie nikt, dla kogo chodzenie jest rzeczą naturalną! Starałem się chodzić jak najwięcej, chodzenie było niesamowitą przygodą. Tylko tam, gdzie było dużo ludzi chodziłem przy pomocy drugiej osoby podtrzymującej mnie za jedną rękę. W ostateczności poruszałem się na wózku. Radość była ogromna! Jestem osobą wierzącą, bardzo często wolny czas spędzałem na modlitwie, którą kierowałem do Matki Bożej. Kilka tygodni po tym wydarzeniu pojechałem więc do Lichenia, aby podziękować Mace Bożej za dar chodzenia.

W roku 1994 moja nauczycielka nauczania indywidualnego ze szkoły podstawowej, Pani Ewa, opowiedziała mi o turnusach rehabilitacyjnych w Wągrowcu oraz o Sportowym Stowarzyszeniu Inwalidów „START”, o Panu Edwardzie Niemczyku, który te turnusy wtedy prowadził. Zasugerowała mi, że powinienem tam raz w roku wyjechać, a przy okazji skorzystać z zabiegów rehabilitacyjnych, a przede wszystkim spotkać ludzi niepełnosprawnych tak jak ja. Mógłbym nawiązać kontakty z ciekawymi osobami, a może nawet zaprzyjaźnić się... Na początku mam bardzo duże obawy, jak sam sobie dam radę, przecież jestem uzależniony od pomocy innych. Nigdy jeszcze nie byłem na żadnym obozie, a moi Rodzice byli moimi jedynymi opiekunami, czasem tylko siostra lub brat im pomagali. Nikt inny się mną nigdy nie opiekował, wydawało mi się, że nikt inny oprócz moich najbliższych nie potrafi tego dobrze zrobić. Muszę pokonać barierę lęku i nieufności. Jest to tak trudne i ciężkie, jak nic do tej pory w moim życiu. Myślę nad tym kilka miesięcy, Pani Ewa przekonuje mnie cały czas. W końcu decyduję się pojechać.

Jest to jedna z najtrudniejszych decyzji, jakie musiałem podjąć do tej pory w życiu.

1 września 1994 roku wyjeżdżam na pierwszy w życiu 14-dniowy turnus do Wągrowca. Pierwszy turnus był dla mnie bardzo trudnym czasem, gdyż wymagał pokonania wielu barier emocjonalnych i psychicznych. Dzięki dobrym ludziom, których tam spotkałem udało mi się przełamać, zaufać ludziom, otworzyć się. Od tej pory zacząłem jeździć co roku na dwu tygodniowe turnusy do Wągrowca. Poznałem wielu fajnych ludzi, byli to uczestnicy turnusu i opiekunowie, praktykanci studiujący rehabilitację lub pedagogikę. Nie sądziłem, że ktoś obcy może mi pomóc tak samo dobrze, jak Rodzice. Na tym pierwszy turnusie miałem po raz pierwszy kontakt z ludźmi takimi jak ja, poznałem środowisko osób niepełnosprawnych. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie wielka wola walki tych ludzi, to, że się nie poddawali, byli pogodni i uśmiechnięci mimo ułomności. Na turnusie w Wągrowcu poznałem, nieżyjącego już, pana Edwarda Niemczyka, osobę posiadającą autorytet wśród niepełnosprawnych. Nauczyłem się samodzielności w załatwianiu różnych rzeczy. Na ostatnim turnusie byłem w roku 2007, ostatni raz spotkałem się z moimi znajomymi i przyjaciółmi, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem...

Na turnusach w Wągrowcu było mi łatwiej zawierać kontakty z ludźmi, może dlatego, że panowała wakacyjna atmosfera i wszyscy byliśmy na luzie. Do dziś pamiętam wieczorne dyskoteki, gdzie wszyscy bawili się aż do trzeciej w nocy! Dla mnie to była nowa, szokująca sytuacja, nie sądziłem, że można żyć inaczej... dało mi to wiele do myślenia. Dzięki turnusom stałem się silniejszy wewnętrznie. Wszystkie osoby, które spotkałem w Wągrowcu – i sprawne, i niepełnosprawne – zmieniły mnie,

moje spojrzenie na świat, na człowieka. Myślę, że tym osobom sprawnym, które mają lub miały kontakt z osobami niepełnosprawnymi i chorymi jest łatwiej obcować z nami, ponieważ dzięki doświadczeniu wiedzą, że nie trzeba się nas bać, wiedzą co powiedzieć, zrobić i czego się spodziewać. To, czy osoba sprawna chce zawrzeć znajomość z osobą niepełnosprawną zależy od wielu czynników, ale głównie od wcześniejszych doświadczeń, charakteru i podejścia takiej osoby do ludzi i życia. Wykształcenie nie zawsze jest tu najważniejsze.

W roku 2003 zacząłem uczęszczać na Warsztaty Terapii Zajęciowej w Czeszewie. Początkowo było mi bardzo ciężko przyzwyczaić się do nowego trybu życia, do zajęć prowadzonych w WTZ – to wszystko było odmienne od tego, co poznałem na turnusach. Nie wiedziałem, jak się zachować, czego oczekiwać, popełniałem wiele błędów. Dopiero po kilku latach się z tym wszystkim oswoiłem. Wielkim przeżyciem było dla mnie to, że wraz ze starostą wrzesińskim i prezesem stowarzyszenia, które wówczas prowadziło WTZ otwierałem Warsztat – jego działalność rozpoczęła się 1 grudnia 2003 r. Rozpocząłem przygodę z Warsztatem jako uczestnik pracowni komputerowej, którą później bardzo polubiłem, ona stała się dla mnie drugim domem i otworzyła mi okno na świat. Zacząłem się porozumiewać ze światem za pomocą komputera – moja choroba sprawia, że mówię bardzo niewyraźnie. Zacząłem pisać artykuły do warsztatowej gazetki i to był mały krok do tego, co miało mnie czekać. Ludzie spojrzeli na mnie inaczej, okazało się, że mam coś do powiedzenia i przekazania innym. Dzięki wsparciu terapeutki, która zaczęła wysyłać moje artykuły do czasopism dla niepełnosprawnych wypłynąłem na nieco szersze wody. W końcu otrzymałem legitymację prasową magazynu „WóTeZet”, z którym do tej pory współpracuję. Piszę także do czasopisma „Filantrop”, zdarzały

się publikacje w „Integracji”, okazjonalnie w lokalnych „Wiadomościach Wrzesińskich”. Nigdy wcześniej nie przyszło mi na myśl, że mogę bawić się w dziennikarstwo, że ktoś w czasopiśmie wydrukuje to, co napiszę! Zacząłem także uprawiać taniec na wózku i razem z warsztatową grupą tańca towarzyskiego występowałem na różnych konkursach i imprezach. Zrobiłem w ESKK dwa kursy: dziennikarski i psychologiczny.

Pisanie artykułów to coś, na co poświęcam bardzo dużo czasu, bo kosztuje mnie to wiele trudu i czasu. Jednak lubię to robić, bo dzięki temu już nie jestem takim szarym, anonimowym człowiekiem jak kiedyś. Niektórzy mnie dzięki temu rozpoznają i nie jestem dla nich „Zbyszkciem na wózku”, lecz „Zbyszkciem piszącym artykuły”. Podoba mi się taka zmiana w postrzeganiu mojej osoby, w końcu wózek nie jest na pierwszym miejscu. Pisanie sprawiło, że spotkał mnie największy zaszczyt i wyróżnienie w życiu. Jestem jedną z osób zgłoszonych do wyróżnienia w XV Plebiscycie Programu Wyzwanie Telewizji Poznań na Człowieka Roku Wśród Osób Niepełnosprawnych za rok 2008. To było niesamowite, wzruszające wydarzenie dla mnie, mojej rodziny, terapeutów i przyjaciół!

Nie każdemu oczywiście podoba się to, że piszę, że moje artykuły są publikowane. Na pewnej stronie internetowej związanej z moją miejscowością, ktoś kiedyś wypisywał pod moim adresem różne obraźliwe słowa. Dostałem nawet kilka okropnych maili. Bardzo mi było wtedy przykro, byłem nawet wystraszony, rozgoryczony - bo nie wiedziałem, o co chodzi tym ludziom. Zastanawiałem się skąd tyle agresji do mnie, osoby niepełnosprawnej, która sama nawet nie może zabić muchy i musiałaby o to poprosić kogoś innego... Ukazuje to jednak mentalność ludzi w małych miejscowościach... Myślę jednak, że wiele się zmieniło na lepsze.

Może dlatego, że istnieje w naszej okolicy Warsztat i osoby niepełnosprawne zaczęły być zauważane, nie tylko jako osoby chore, ale także jako osoby, które potrafią coś zrobić, mogą coś dać innym, pomóc. Osoba poruszająca się na wózku w mojej okolicy nie wzbudza już sensacji, jak to było jeszcze niedawno. Nikt się nie gapi, nie pokazuje palcami. Ludzie mówią „dzień dobry”, zagadują. Ale to nie znaczy, że jest idealnie, gdyż w małych miejscowościach takich, jak moja na każdym kroku napotyka się na bariery nie tylko architektoniczne, ale również na stereotypy w myśleniu pewnych ludzi, którzy twierdzą, że takim osobom należy się tylko niewielka pomoc finansowa i specjalne domy opieki.

Po wielu latach los postanowił mnie znowu doświadczyć. Okazało się, że nie wszystko jest nam dane na zawsze. W sierpniu 2008 roku zacząłem odczuwać dolegliwości związane z kręgosłupem: nagły nieład i tak niesprawnych rąk, nóg i całkowita niesprawność fizyczna. Spadło to na mnie nagle. Na początku wydawało mi się, że jest to przejściowe. Również lekarze nie wiedzieli od razu, co się dzieje. Kilka tygodni później pojechałem do szpitala na dokładne badania. Stwierdzono u mnie zwyrodnienie kręgosłupa szyjnego i ucisk na rdzeń kręgowy. Byłem załamany, łzy same płynęły po policzkach, tym bardziej, że moi Rodzice również bardzo to przeżyli. Okazało się, że jakakolwiek operacja może pogorszyć mój stan zdrowia na zawsze! Jest także niewielka szansa na to, że w wyniku rehabilitacji moje zdrowie poprawi się nieco. W tej chwili jestem zupełnie niesamodzielny, nie chodzę i potrzebuję pomocy drugiej osoby przez 24 godziny. Nawet pisanie tych słów nie przychodzi mi z łatwością. Jest okupione bólem.

Po załamaniu zmieniłem myślenie. Moim wzorem jest Papież Jan Paweł II – on też chorował i cierpiał, a jednak się nie poddał i do końca pracował, był ze swoimi owieczkami.

To dzięki niemu wiem i wierzę w to, że aby poczuć słodki smak życia, musimy poznać też ten kwaśny. Inaczej nie wiedzielibyśmy, że spotyka nas coś dobrego, bo wydawałoby nam się, że ma tak być. Wiem, że moi Rodzice są coraz bardziej zmęczeni i coraz starsi, że mają coraz mniej sił dla mnie, a siostra i brat mają swoje rodziny i prace. Ale wierzę, że będzie dobrze. Bo jak się okazało, życie ma dla nas wiele niespodzianek.

ZS

Zbyszek Strugała

Mieszka w Orzechowie. Od urodzenia jest osobą niepełnosprawną w stopniu znacznym. Ukończył szkołę podstawową w trybie nauczania indywidualnego oraz kurs dziennikarski i psychologiczny w Europejskiej Szkole Kształcenia Korespondencyjnego. Od grudnia 2003 roku uczestniczy w zajęciach Warsztatu Terapii Zajęciowej w Czeszewie. Współpracuje z ogólnopolskim magazynem „WóTeZet” i miesięcznikiem „Filantrop”. Jest także jedną z osób w zgłoszonych do wyróżnienia w XV Plebiscycie Programu Wyzwanie Telewizji Poznań na Człowieka Roku Wśród Osób Niepełnosprawnych za rok 2008. Posiada legitymację dziennikarską magazynu „WóTeZet”. Interesuje się dziennikarstwem, psychologią i pedagogiką oraz tańcem na wózku.

czas na
CZAS
DLA NAS



po 2 TAKIE ŁADNE COŚ

Wchodzę do galerii i czuję gęsią skórę: to jest to coś, co zawsze chciałam mieć! Dokładnie takie jak sobie wymarzyłam. I nawet nie takie bardzo drogie. To znaczy drogie, ale nie jakoś kosmicznie, stać mnie. Chyba...

Ile razy wchodziłaś do sklepu i miałaś takie myśli jak ja? Gwarantuję: zdarza się to bardzo często. Czasami to genialne perfumy, może oszałamiający naszyjnik czy wyjątkowy szal. Czasami to jakiś dekoracyjny drobiazg do domu, piękny wazon czy wyjątkowej urody, pasująca do koloru w salonie, taca na owoce. Czasami kupujesz, częściej wychodzisz z niczym.

Korale, bransoletkę i kolczyki zrobię sama. Nie są fabrycznie idealne, ale za to hand made i nikt takich mieć nie będzie. A jeśli mi się znudzą, zrobię z nich coś innego. Mogę Cię nauczyć, to naprawdę nic trudnego: sznurek albo wstążeczka, może rzemyk, koraliki ze starego naszyjnika, parę węzełków, dołącz kółeczko z zapięciem i już!

Czy mogę oczekiwać czegoś w zamian? No pewnie! Mam kilka przyjaciółek, jedna z nich pięknie maluje, inna z nieciekawej skrzynki robi urocze puzderko na drobiazgi, jest też specjalistka w dekorowaniu świątecznych pierniczek i pasjonatka przerabiania starych ciuchów na ubranka (prawie) haute couture. Od czego zaczynamy?

Kiedy zorganizowałyśmy plener malarski narzekaniom nie było końca: nigdy nie malowałam, nie umiem nawet rysować, jak ja dobiore kolorów, te pędzle są jakieś dziwne, ja nie potrafię... Na szczęście nasza malarka była cierpliwa, a efekty pracy całkiem niezłe. Sobotnie popołudnie przy sztalugach zaowocowało paroma niezłymi obrazkami. Może nie Salon Odrzuconych, ale i nie bazarowe kicze.

Kiedy piekłyśmy świąteczne witrażowe pierniczki okazało się, że to bardzo fajna zabawa. Aniołki, gwiazdki, księżycy i słoneczka dumnie ozdobiły domowe choinki, a zaciekawieni goście nie ukrywali zdumienia: naprawdę zrobiłaś to sama?

Kiedy postanowiłyśmy pobawić się dekupażowo, myślałyśmy z lekką niechęcią o pyzatyh aniołkach i lawendowych gałązkach. Takie łapacze kurzu, prawda? Tymczasem udało się nam okleić gazetą – a jakże – gazetownik, łowicką wycinanką pudełko na drobiazgi, a motylkami wielkanocne strusie jajo i pokazać tace. Dodatkowo ozdobiłyśmy również drzwi (konikami) i schodki (ważkami).

A kiedy pojechałyśmy lepić garnki... To był strzał w dziesiątkę! Kiedy widzisz jak z niepozornego kawałka szarej gliny powstaje precudnej urody kafel czy dzbanek, cieszysz się jak dziecko... Od tamtego spotkania ilekroć spojrzę na ceramiczne „ludowe” wazony czy talerze zastanawiam się czy dałoby się to zrobić trochę inaczej, z innym wzorem i w moim ulubionym kolorze. Na święta nad stołem zawieszę ceramiczne „pierniczki”, a turkusowa patera wzbudza uzasadnioną zazdrość koleżanek.

Nie da się wszystkiego zrobić w domu czy zaprzyjaźnionej pracowni, ale warto choćby spróbować. Spędzenie chwili wolnego w gronie przyjaciół jest dobrym pomysłem na każdy czas. A jeśli przy okazji wzbogacimy się o jakiś gustowny, zrobiony samodzielnie drobiazg, tym lepiej.

W galerii niedaleko mojego domu królują jeszcze pomarańczowe dynie i zwiewne duszki, ale już niedługo pojawią się bożonarodzeniowe dekoracje. A my zamierzamy zrobić w tym roku wianki, dekorowane jarzębiną, orzechami i zebranych w lecie szyszkami. I koronkowe bombki. I artystycznie zapakujemy prezenty. I oczywiście upieczemy korzenne pierniczki... Spotkamy się na początku grudnia i wyczarujemy świąteczne cudowności. Czas spędzony w gronie przyjaciół liczy się podwójnie!

Grażyna A. Rogala



GALERIA

Klaudia Ofiara

Projektanci co sezon zalewają przemysł modowy nowymi projektami. Od tradycyjnych krojów po awangardowe cięcia czy sportowe przełamywanie barier. Za oknem coraz zimniej, a liście powoli opadają, dlatego czas przyrzeć się tendencjom na nadchodzący sezon jesienno-zimowy i zobaczyć czy znajdziemy w sklepach coś dla siebie, a może sięgniemy po sprawdzone już zestawy.

Większość trendów w tym sezonie będzie odnosiła się do minionego stulecia, czyli kolejnych dekad XX wieku. Co więcej ciekawym trendem jest również noszenie krojów, które odsłaniają mniej ciała. Do lamusa przechodzą więc w tym okresie krótkie i opięte stroje z dużymi dekolami, a nastaje czas na noszenie dłuższych spódnic, łódkowych dekolatów czy nawet półgolfów.

To co jednak w modzie najważniejsze, to pamiętajmy „inspirowanie się”. Trendy mają nas nakierować, być podpowiedzią w odnalezieniu siebie wśród modowych kierunków. Dać możliwość wyboru czegoś nowego dla siebie, aby móc wyrazić się poprzez to co nosimy i jednocześnie czuć się w tym sobą. To najważniejsze czego powinniśmy w modzie szukać, czyli poczucie siebie.

Pierwszym wiodącym trendem nadchodzącej jesieni będzie styl punk oraz grunge. Punkowy nurt głównie charakteryzuje się użyciem skóry, nitów, ćwieków czy agrafek. Dodatkowo najlepszym uzupełnieniem będzie duża biżuteria oraz motyw szkockiej kraty, która pojawia się obecnie w niemal



każdym sklepie w co najmniej kilku odsłonach. Co więcej, popularne będą duże kapelusze i zdobione czapki. Styl grunge natomiast będą reprezentować powyciągane tkaniny, przecierane spodnie oraz długie kroje. Charakterystycznym elementem będzie także łączenie ze sobą materiałów o różnej teksturze i grubości, wzorów delikatnych z wyrazistymi, a także nakładanie na siebie co najmniej kilka warstw ubrań.

Wielu projektantów inspirowało się także modą retro, w tym głównie latami 20., 40. i 50. XX wieku. Sklepy mocno się wzorują tym stylem, co sprawia, że na półkach znajdziemy wiele eleganckich rzeczy. Z drugiej dekady XX wieku zaczerpnięto sukienki z obniżoną talią, klasyczne kroje i styl zapoczątkowany przez Coco Chanel. Sezon ten przynosi dzięki temu możliwość podkreślania kobiecych walorów poprzez natchnienie twórców modą lat 40. i 50. i wykorzystanie taliowanych i ołówkowych spódnic w długości midi, czyli sięgającej za kolano. Na sklepowych półkach zobaczymy także łódkowe dekolty, które odsłaniają mniej ciała, ale dobrze podkreślają kobiecą sylwetkę, równoważąc proporcje w zestawieniu z rozkloszowanym krojem spódnicy.

Innym popularnym trendem staje się także męski styl, czyli przeciągnięcie męskich elementów garderoby do stylu kobiecego. Wzięciem będą cieszyły się damskie kroje garniturów, marynarki, spodnie, białe koszule, oraz najbardziej widoczne w tym sezonie kapelusze i męski krój obuwia, czyli sztyblety i męskie pantofle.

Kolejnym motywem są stroje, które dodają nam objętości. Spódnice bombki i długie płaszcze mają za zadanie dodać bryłowatości sylwetce. Modne będzie także wplatanie w to luźnego stylu sportowego w postaci miękkich, dresowych tkanin w formie sukienek, płaszczy, długich spódnic czy kurtek.

Najpotrzebniejszym i najbardziej rozchwytywanym elementem garderoby w tym sezonie będą jednak zdecydowanie płaszcze. Będzie to „must have” tego sezonu. Stanowiąc będą główny element stroju. W sklepach więc aż roi się od ich różnych kolorów, kształtów, fasonów i długości.

Następnym popularnym składnikiem w modzie jesienno-zimowej będą sweterki z cienkiej wełny, długie bądź krótkie, ale w szczególności zestawione z koszulą, która wystaje spod spodu, co ma lekko nawiązywać do stylu uczelnianego kujona.



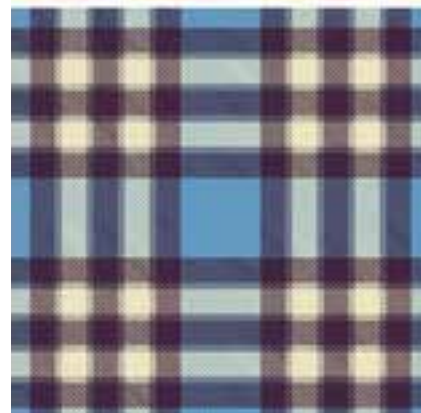


Spódnica midi, będzie występowała jak już wspomniałam w dwóch wariantach: ołówkowym i rozkloszowanym. Taka długość optycznie skraca sylwetkę, więc szczególnie dobrze zestawiać ją z butami na obcasie. Jeśli już o nich mowa, to w tym sezonie znajdziemy wiele butów na obcasie, które są bardzo kobiece. Panuje trend na dwa skrajne rodzaje obcasów, albo na bardzo cienką szpilkę i wycięty krój buta, albo obuwie na słupku bądź szerokim kwadratowym obcasie, nieco cięższe i bardziej zabudowane. Entuzjaści płaskiego obuwia odnajdą się natomiast w mokasynach i lordsach, które zdominowały rynek i idealnie łączą się z męskim stylem. W zimowych inspiracjach znajdziemy natomiast szczególnie kozaki, które sięgają nawet połowy uda lub ciężkie botki czy walkery, które idealnie wpasują się w styl grunge.

Torebki tego sezonu szczególnie inspirowane są trapezowym krojem od Celine. Inne ciekawe modele to kuferki, miejskie torebki na zakupy w dużym rozmiarze, a także małe torebeczki i kopertówki przypominające puzderka. Wielką popularność w tym sezonie osiągają także plecaki, które znajdziemy w wielu kolorach i rozmiarach jako zastępnik tradycyjnej torebki.

Dodatki w sezonie jesienno-zimowym są przede wszystkim duże i widoczne. Mają one przykuwać uwagę i tworzyć samodzielnie cały strój. Plastikowe, geometryczne, metalowe, nabijane ćwiekami lub co ciekawe z pereł mają być przemieszane i nakładane jedno na drugie. Dodatki głównie nawiązują do barokowego przepychu i religijnej sztuki bizantyjskiej.

Ostatnim ważnym elementem w modzie będą kolory i wzory. Zdecydowanie prym będzie wiodł niebieski we wszystkich swoich odcieniach. Kolejnym kolorem będzie natomiast ognista i żywa czerwień, ewentualnie w odcieniu zmieszanym z maliną, czyli nietypowe kolor jesieni, gdyż tradycyjnie popularne są odcienie wina i zieleni. Złoto to kolejny kolor, który będzie królował



na modowych salonach. Złote są dodatki, tkaniny, przeszycia, a wszystko to ma błyszczeć i odbijać światło, dając efekt przepychu. Jeśli natomiast chodzi o wzory, to zdecydowanie królować będzie szkocka i bawarowa krata. Poza tym melanzowe wzory, czyli splot czarnej i białej nitki, które tworzą szary nadruk. Styl ten będzie zarówno w okryciach wierzchnich, jak i dodatkach oraz nawet butach. Wzór ten najlepiej wygląda na cięższych tkaninach, co idealnie daje im możliwość na stworzenie w tym kroju płaszczy. Kolejnym popularnym motywem są kwiaty, ale w zgaszonych, pastelowych kolorach, bynajmniej nie wakacyjnych neonach. Po raz kolejny renomą może pochwalić się także panterka, która w tym sezonie pojawia się nadzwyczaj wiele razy, głównie w formie dodatków. Innym modnym dodatkiem będą akcenty z futra, szczególnie ciekawym rozwiązaniem mają być futra farbowane na jaskrawe kolory w formie czapek, etol czy okryć wierzchnich. Innym trendem wśród wzorów będą kontrastowe i geometryczne zestawienia, niektóre nawet w formie surrealistycznej, jak motyw oczu, ust czy zwierząt.

Podsumowując sezon jesień-zima 2013/2014 oraz trendy w nim panujące można z czystym sumieniem stwierdzić, że każdy znajdzie coś dla siebie. Natłok kolorów i wzorów daje możliwość znalezienia inspiracji w niemal każdym miejscu, od kinowych hitów na podstawie literatury opowiadającej historie z lat 20., czy odwiedzenie galerii, w której zainspirujemy się barokowym przepychem. Moda otacza nas z każdej strony, pamiętajmy jednak, że najważniejsze jest odnalezienie się w niej, a nie ślepe podążanie za trendami.

KO



NA ZDROWIE

Ewelina Penconek



Piękna, polska, złota jesień. Z czym nam się kojarzy? Z szelestem liści, jak również z deszczem i chorobami. Wystarczy kilka sprawdzonych domowych przepisów, by szybko pokonać infekcje. Od razu przypomina mi się Babciny syrop z sosny, wyleczy każdy ból gardła i kaszel.

Do 15 maja należy zebrać pędy sosny, następnie je umyć, po osuszeniu pokroić na 3 części. Ułożyć w słoju warstwami, przesypując cukrem. Następnie słoć należy postawić na słońcu by wytworzył się sok. Wówczas należy odlać przez sitko sok do 2,5 l garnka i zalać go ćwiartką spirytusu. Pić dwa razy dziennie przy objawach przeziębienia.

Alternatywą do syropu z sosny może być burak. W umyтым, ale nie obranym buraku należy wydrążyć dziurę, nasypać do niej odrobinę cukru, położyć go w ciepłym miejscu, najlepiej blisko kaloryfera. Gdy burak puści sok, należy pić syrop dwa razy dziennie.

Równie sprawdzonym sposobem na jesienne przeziębienia jest rozgrzewająca herbata imbirowa z miodem i cytryną. Imbir zawiera w sobie dużo substancji przeciwzapalnych oraz znakomicie rozprasza zimno. Miód to naturalny antybiotyk, po rozcieńczeniu w wodzie następuje wzrost działania antybiotykowego, który zahamowuje





drobnoustroje. Kwas askorbinowy – witamina C zawarta w cytrynie to przeciwutleniacz, który bezinwazyjnie uodparnia organizm.. W kubku 250 ml zaparz herbatę Ceylon, po około 2 minutach dorzuć 2 plasterki imbiru pokrojonego w kostkę, dodaj łyżeczkę miodu, a na samym końcu plasterki cytryny pokrojony na ćwiartki. Herbata nie tylko rozgrzeje, ale również zmniejszy ból gardła.

Osobom odważnym i zdeterminowanym polecam kaszę jaglaną. Czemu właśnie tą kaszę? Kasza jaglana ma niezwykle właściwości osuszania śluzu w zatokach, który przeszkadza nam podczas przeziębień. Jeśli nie lubimy kaszy o „smaku kaszy”, możemy dodać łyżeczkę miodu, bądź odrobinę soli. Jedną szklankę kaszy wysypujemy na rozgrzaną patelnię i prażymy do momentu, gdy wyłoni się orzechowy zapach. Następnie kaszę należy przepłukać pod bieżącą wodą, aż woda nie będzie mętna. Teraz kaszę wsypujemy do garnka, zalewamy 2 szklankami gorącej wody i gotujemy na małym ogniu przez 15-20 minut, aż kasza wchłonie całą wodę. Dzięki prażeniu kasza straci gorycz oraz po ugotowaniu będzie sypka.



EP

Chcieć to móc





Ciąg dalszy rozmowy **Kasi Bożyk** z **Renatą Śmietanką**,
psycholożką, absolwentką Szkoły Wyższej Psychologii
Społecznej w Warszawie, współzałożycielką
Pracowni Aktywnego Działania „Półpiętro”, specjalizującą
się w pomocy psychologicznej dzieci i młodzieży,
m.in. w trudnościach w uczeniu się, radzeniu
sobie ze stresem, uzależnieniami.

W ostatniej rozmowie podjęliśmy temat rodzin, które dążąc za wszelką cenę do idealnego wizerunku, w istocie osiągnęły dokładnie odwrotny skutek. To bowiem, co na zewnątrz prezentuje się jako wzór godny naśladowania i powód do zazdrości, może być okupione mnóstwem wyrzeczeń i cierpienia ze strony przymuszanych do pracy ponad swoje siły dzieci. One zaś, chcąc podołać stawianym wymaganiom, wpadają w różne choroby, depresje, a w skrajnych przypadkach rozważają nawet próby samobójcze. Zwróciliśmy też uwagę na problem, jakim z drugiej strony jest nagłe wyrwanie się młodzieży spod kontroli rodziców, często kończące się eksperymentowaniem z różnego rodzaju używkami, co z kolei prowadzi do uzależnień i innych patologii.

Jednak nie wszystkich spotyka tak ponury los, prawda?

Nieraz słyszymy o ludziach, którzy doświadczyli w życiu tylu trudności, że zadajemy sobie pytanie jak to możliwe, aby jeden człowiek był w stanie unieść tyle cierpień. Ba, paradoksalnie niejednokrotnie właśnie te osoby, które niejedno w życiu przeszły, potrafią je docenić i cieszyć się tym, czego my, tzw. „normalni ludzie”, nawet nie postrzegamy jako szczęście, ponieważ uznajemy to za normę należącą nam się od życia. Zastanawiam się, skąd tacy ludzie czerpią siłę. Oczywiście wiemy, że pierwszym i najważniejszym źródłem siły jest rodzina. W rodzinie człowiek doświadcza miłości, akceptacji, szacunku i na tym buduje umiejętności radzenia sobie z trudnościami życiowymi.

Co jednak z tymi osobami, którym rodzina nie była w stanie zapewnić dobrej rodzicielskiej opieki, serdecznej atmosfery, ciepła, wsparcia?

Z doświadczenia zawodowego i obserwacji życia wiem, że ludzie po trudnych przejściach mogą tak nasiąknąć tymi przekazanymi im niedobrymi wzorcami, że w swoim dorosłym życiu je kontynuują i realizują. Nazywamy to mitem rodzinnym (mit – historia życia przekazywana z pokolenia na pokolenie). Jednak są też tacy, którym udaje się go przezwyciężyć i podążać własną drogą. W swojej praktyce terapeutycznej spotkałam 18-letnią dziewczynę, której los nie oszczędzał. Mama chora na schizofrenię oraz ojciec alkoholik nie byli w stanie jej wychować, więc rolę opiekuna prawnego jej i dwójki rodzeństwa przejął dziadek, który jak się później okazało, stosował wobec nich przemoc psychiczną. Marta, bo tak jej było na imię, zadziwiła mnie jednak swoim optymizmem i mądrością. Jej przemyślenia, którymi się ze mną dzieliła, były dojrzałe niż niejednej osoby dorosłej. Tak ciężkie doświadczenia nie zabiły jej wrażliwości, często opowiadała o tęsknocie za pozostałym rodzeństwem, wychowującym się w innej rodzinie zastępczej.

Trudno uwierzyć, że otrzymując na starcie tak negatywne wzorce, dziewczyna mimo wszystko potrafiła je przezwyciężyć. Musiała być bardzo silna...

Marta instynktownie wiedziała, jak radzić sobie z trudnymi emocjami. Prowadziła pamiętnik, rysowała, miała swoje plany na przyszłość i, co najważniejsze, nie skreśliła swoich bliskich, od których doznała tyle niedobrego. Taką umiejętność radzenia sobie z przeciwnościami losu wyjaśnia koncepcja resilience, która opisuje fenomen pozytywnej adaptacji do życia dzieci i młodzieży narażonej na zdarzenia traumatyczne. Resilience to odporność psychiczna i zdolność przezwycięzania negatywnych emocji, którą osiągamy dzięki dobrym relacjom z rodziną i przyjaciółmi, umiejętności polegania na sobie, zaufania do swoich możliwości i instynktowi. Tak tłumaczą to psychologowie, ale być może jest jeszcze coś więcej, coś, co przekracza racjonalne myślenie. Keri Black i Marie Lobo (2008), na podstawie przeglądu prac teoretycznych oraz badawczych opracowały listę czynników bądź atrybutów, które sprzyjają odporności psychicznej, i jest to między innymi właśnie duchowość nadająca sens przeciwnościom.

Czyli wiara w lepsze jutro dodaje nam siły, aby o nie walczyć?

Terapeuci pracujący z osobami borykającymi się z uzależnieniami w programie 12-kroków, na jednym z nich powołują się na istnienie siły wyższej, Boga. Nick Vujicic, który urodził bez rąk i nóg, przełamał swoje słabości i fizyczne ograniczenia i nauczył się pisać na komputerze, pływać, jeździć na deskorolce i wielu innych rzeczy, które wydają się niemożliwe do wykonania przez osobę nie mającą żadnej kończyny. Nick stał się motywatorem i inspiracją dla innych ludzi w tym, jak walczyć o siebie. W wywiadach, których udziela, często mówi, że może żyć pełnią życia właśnie dzięki sile wiary, a ograniczenia istnieją wtedy, gdy sami je tworzymy. Postawa Nicka może nas zawstydząć, kiedy uświadomimy sobie, jak często narzekamy na pogodę, szefa, los, nadmiar kilogramów itp. Przykłady osób, które pomimo beznadziei w jakiej się znalazły umiały z niej wyjść i przezwyciężyć los można by mnożyć.

Dlatego próbujemy czerpać inspirację z przykładów takich jak Marta czy Nick, a życie będzie stawać się łatwiejsze.

Dziękuję za rozmowę.

WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon
powieść w odcinkach
cz. XXJJJ

Naraz drzwi chaty otworzyły się. Marianna wyszła blada i prawie bez życia. Niosła zawiniątko, w którym Thomas rozpoznał swojego syna. Zobaczywszy ich zbliżyła się powoli. Teraz jej twarz była przezroczysta, a usta sine. Prowadzona bardziej siłą woli niż własnymi siłami. Niosła dziecko bardzo ostrożnie. Podała je mężczyźnie. Pan zobaczył na ustach Ulryka ciemny, zakrzepnięty strup. Ranka była oklejona mieszaniną ziół.

– Będzie żył – stwierdziła bez wstępów Marianna. Dłonie zwisły jej wzdłuż boków. – Ale każda rana, może mu przynieść śmierć...

Popatrzył nie rozumiejąc.

– Krew to życie, jeżeli ją straci, umrze. A on będzie przez każdą ranę tak cierpieł.

– Nie rozumiem. Jak to każdą ranę? Przecież nie da się żyć bez ran?

– Jeżeli ma żyć, musi.

– To niemożliwe. Coś ci się pomyliło. Nikt, nie żyje bez ran – nie dopuszczał do siebie takiej wiedzy.

– Nic ci więcej nie powiem – fuknęła na niego. Przyjechał tu. On! On, który wyrządził im tyle krzywd i jeszcze ma czelność się złościć.

– Zabierz swojego syna i dbaj o niego. Dawaj mu to do picia – wyciągnęła zza paska woreczek ziół. – Po kilka łyżek dziennie – westchnęła ciężko – przestudzonego naparu.

Chciała, żeby już odjechał. Nie mogła mu odmówić pomocy. Nie mogła skrzywdzić tego dziecka, ale nie chciała go już dłużej widzieć. Żeby już odjechał. Żeby już go tu nie było. Żeby już zostały same. Niech już wsiądzie na koń i wróci skąd przybył. Niech da im spokój. I niech nigdy tu nie wraca. Wreszcie, rzucając sakiewkę, odjechał. Marianna po dłuższej chwili podniosła ją. Była ciężka. Uśmiechnęła się gorzko.



Koń niósł go spokojnie z powrotem do domu. Powoli, żeby nie zbudzić śpiącego w jego ramionach dziecka. Thomas patrzył z rozrzwinięciem na tę malutką twarzyczkę. Na ciemny i twardy strupek na wargach synka. Jego syna. Co ta wiedźma mówiła? Każda rana może zakończyć się śmiercią jego dziecka. Cień smutku zakradł się na jego twarz. Ale teraz będzie żył. A potem się zobaczy. Przecież to niemożliwe, żeby od tak małej ranki...ale przecież życie z niegoomal nie uszło. Potrzęsął głową z niedowierzaniem. Może coś się jej pomyliło.

– Boże, ty jesteś wszechmogący, karzący i miłosierny – wzniósł oczy do nieba – pozwól by mój syn żył, by nie było prawdą to, co ta wiedźma mówiła – westchnął – obiecałem, że sprowadzę swoją żonę i będę dla niej dobrym mężem... jeżeli to ma być

moją karą niech będzie, tylko pozwól żyć mojemu dziecku – głowa opadła mu na piersi.

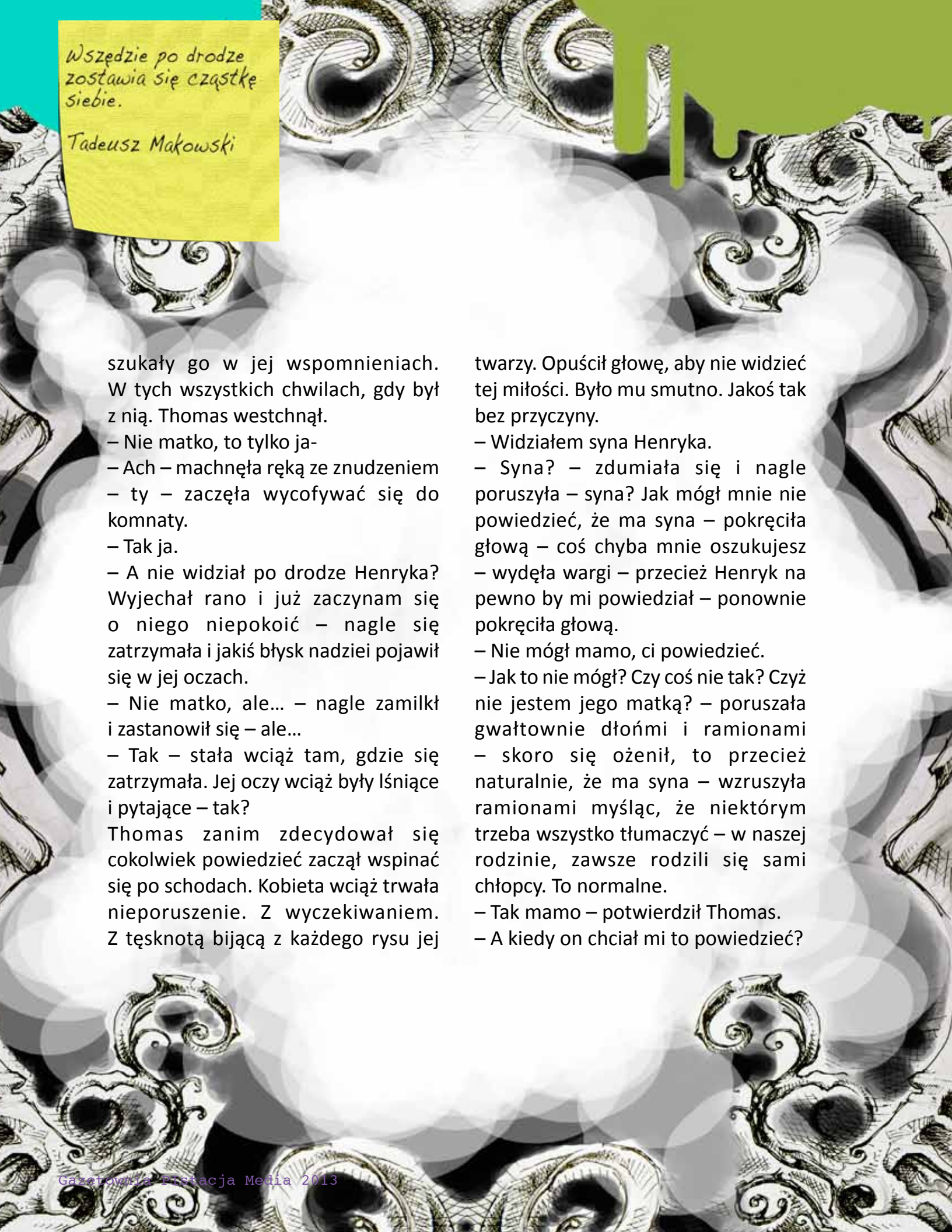
Koń nadal stąpał miarowo. Dziecko ukołysane jednostajnym rytmem spało spokojnie. Na jego policzki powoli wracały rumieńce. Mężczyzna mocniej przytulił syna do siebie.

– Będzie dobrze – szepnął dla podniesienia się na duchu.

Przejechał bramę zamku i podał dziecko kobiecie, która wybiegła na dźwięk końskich kopyt. Zakołysała dziecko i zaniósła do komnat. Na szczycie schodów pokazała się pani.

– Czy Henryk już wrócił? – krzyknęła z góry.

Wciąż trzymała się prosto, ale jej twarz postarzała się w mgnieniu oka. Policzki obwisły, a oczy zapadły się w głąb czaszki, nie chcąc widocznie patrzeć na świat, po którym nie chodził jej ukochany syn. A może



Wszędzie po drodze
zostawia się część
siebie.

Tadeusz Makowski

szukały go w jej wspomnieniach. W tych wszystkich chwilach, gdy był z nią. Thomas westchnął.

– Nie matko, to tylko ja-

– Ach – machnęła ręką ze znużeniem
– ty – zaczęła wycofywać się do komnaty.

– Tak ja.

– A nie widział po drodze Henryka? Wyjechał rano i już zaczynam się o niego niepokoić – nagle się zatrzymała i jakiś błysk nadziei pojawił się w jej oczach.

– Nie matko, ale... – nagle zamilkł i zastanowił się – ale...

– Tak – stała wciąż tam, gdzie się zatrzymała. Jej oczy wciąż były lśniące i pytające – tak?

Thomas zanim zdecydował się cokolwiek powiedzieć zaczął wspinać się po schodach. Kobieta wciąż trwała nieporuszenie. Z wyczekiwaniem. Z tęsknotą bijącą z każdego rysu jej

twarzy. Opuścił głowę, aby nie widzieć tej miłości. Było mu smutno. Jakoś tak bez przyczyny.

– Widziałem syna Henryka.

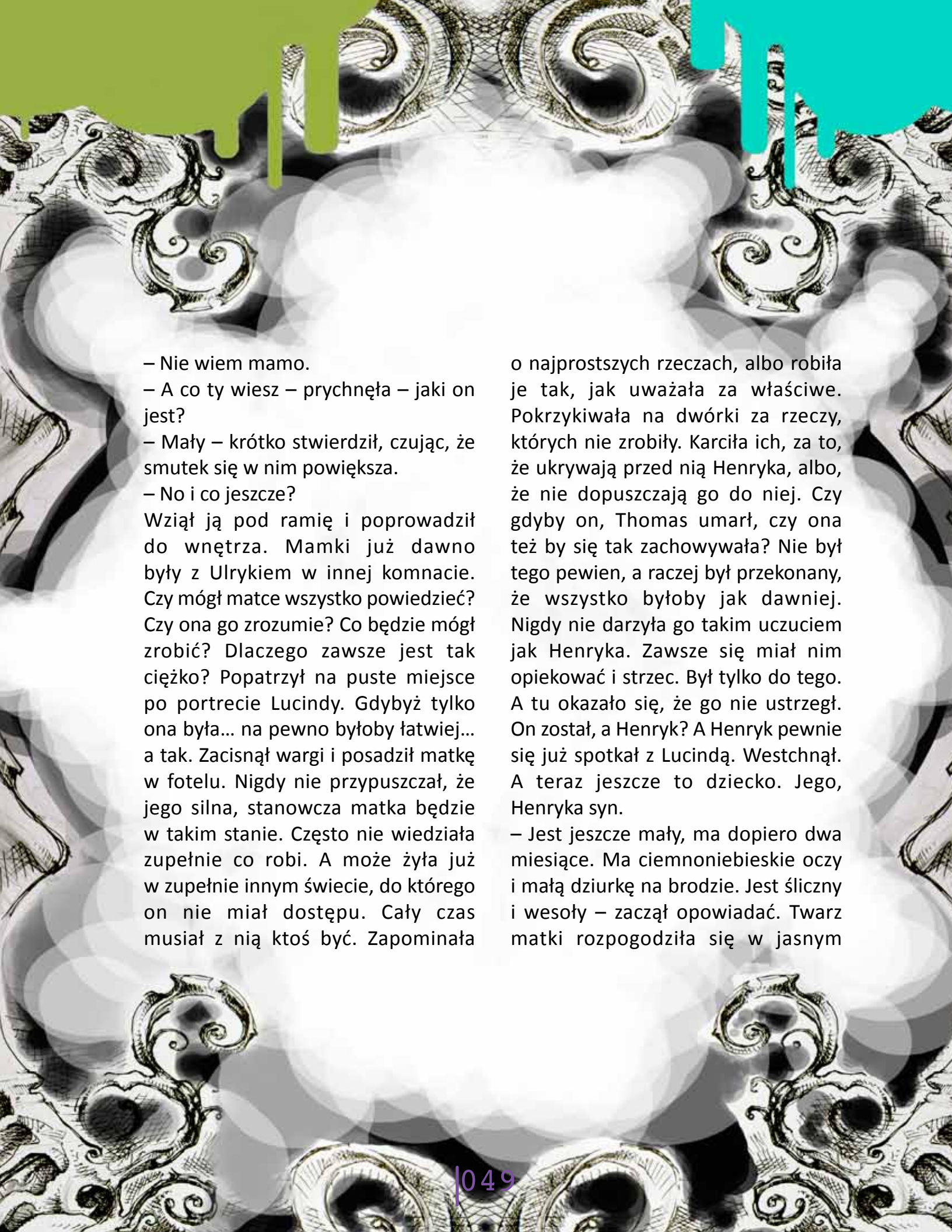
– Syna? – zdumiała się i nagle poruszyła – syna? Jak mógł mnie nie powiedzieć, że ma syna – pokręciła głową – coś chyba mnie oszukujesz – wyduła wargi – przecież Henryk na pewno by mi powiedział – ponownie pokręciła głowę.

– Nie mógł mamó, ci powiedzieć.

– Jak to nie mógł? Czy coś nie tak? Czyż nie jestem jego matką? – poruszała gwałtownie dłońmi i ramionami – skoro się ożenił, to przecież naturalnie, że ma syna – wzruszyła ramionami myśląc, że niektórym trzeba wszystko tłumaczyć – w naszej rodzinie, zawsze rodzili się sami chłopcy. To normalne.

– Tak mamó – potwierdził Thomas.

– A kiedy on chciał mi to powiedzieć?



– Nie wiem mamo.

– A co ty wiesz – prychnęła – jaki on jest?

– Mały – krótko stwierdził, czując, że smutek się w nim powiększa.

– No i co jeszcze?

Wziął ją pod ramię i poprowadził do wnętrza. Mamki już dawno były z Ulrykiem w innej komnacie. Czy mógł matce wszystko powiedzieć? Czy ona go zrozumie? Co będzie mógł zrobić? Dlaczego zawsze jest tak ciężko? Popatrzył na puste miejsce po portrecie Lucindy. Gdybyż tylko ona była... na pewno byłoby łatwiej... a tak. Zaciśnął wargi i posadził matkę w fotelu. Nigdy nie przypuszczał, że jego silna, stanowcza matka będzie w takim stanie. Często nie wiedziała zupełnie co robi. A może żyła już w zupełnie innym świecie, do którego on nie miał dostępu. Cały czas musiał z nią ktoś być. Zapominała

o najprostszych rzeczach, albo robiła je tak, jak uważała za właściwe. Pokrzykiwała na dwórki za rzeczy, których nie zrobili. Karmiła ich, za to, że ukrywają przed nią Henryka, albo, że nie dopuszczają go do niej. Czy gdyby on, Thomas umarł, czy ona też by się tak zachowywała? Nie był tego pewien, a raczej był przekonany, że wszystko byłoby jak dawniej. Nigdy nie darzyła go takim uczuciem jak Henryka. Zawsze się miał nim opiekować i strzec. Był tylko do tego. A tu okazało się, że go nie ustrzegł. On został, a Henryk? A Henryk pewnie się już spotkał z Lucindą. Westchnął. A teraz jeszcze to dziecko. Jego, Henryka syn.

– Jest jeszcze mały, ma dopiero dwa miesiące. Ma ciemnoniebieskie oczy i małą dziurkę na brodzie. Jest śliczny i wesoły – zaczął opowiadać. Twarz matki rozpogodziła się w jasnym



uśmiechu. Słuchała go chciwie. Nie przerwała mu ani razu dopóki nie skończył.

– A jak się ma Izabela? – zapytała na zakończenie.

– Zmarła przy porodzie.

Odina z niepokojem przyglądała się matce. Marianna siedziała przed chatą i nie odzywała się od dłuższego czasu. Schowała twarz w splecionych dłoniach.

– Mamo, dlaczego tak siedzisz? – zapytała wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać napięcia. Kobieta spojrzała na nią niewidzącym wzrokiem, a potem otrząsnęła się jak ze złego snu.

– Zło powraca złem – powiedziała bez tłumaczenia – tak mówiła Helga.

– Ale dlaczego to mówisz? – nie rozumiała wciąż Odina.

– To dziecko jest przeklęte – zawahała się chwilę – żal mi tego mężczyzny.

– Matko! – zawołała oburzona Odina.

– Jak? Za to wszystko? – podniosła ramiona do góry i rozłożyła ze zdumieniem ręce. – Powinien ponieść karę! – powiedziała twardo – niech też poczuje, że nie jest mu wolno robić co mu się tylko podoba.

– On jest nieszczęśliwy.

– A ja?! Ja też jestem nieszczęśliwa! I to także przez niego! – Odina mówiła podniesionym głosem. Nie rozumiała, jak człowiek, który wyrządził jej krzywdę, może zasługiwać na czyjąkolwiek litość? Jak? – Ja też cierpiałam, mnie też było ciężko i to przez niego, a ty mu współczujesz?

– Tak, żal mi go. Kiedyś to zrozumiesz – westchnęła.

Podniosła się zza stołu, kończąc rozmowę. Widziała gniew córki i jej złość. Nie mogła jednak nie współczuć. Właśnie teraz zdała sobie sprawę z wielu rzeczy. Sprawy do tej



pory zamknięte, nagle się otworzyły. Zrozumiała dlaczego nie była w stanie go zabić, wtedy nad rzeką. Wiele razy myślała, że źle postąpiła, pozwalając mu wtedy żyć. Kiedy był zdany na jej łaskę i niełaskę. Ale zło zawsze wraca złem. Może nie w tej samej chwili, może po latach, ale wraca. Czy do niej też wróci? To był nieszczęśliwy człowiek, bardziej nieszczęśliwy niż ona. Przeklęty chorobą swojego dziecka. Czy przekleństwo można cofnąć? Marianna wiedziała dużo o urokach rzucanych przez ludzi. Czasem nieświadomie, częściej ze złości lub zawiści. Ale teraz to było inne przekleństwo. Wielkie, dane przez naturę. Za co on musiał tak cierpieć? Czy miał dzięki temu coś zrozumieć? Co musiał zrobić, aby zniknęło?

Marianna w zamyśleniu oddaliła się do lasu.

Odina wciąż zdumiona i oburzona odprowadziła ją wzrokiem. Opadła ciężko na ławę.

– Jak ona może tak mówić? – pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Najpierw musi z nią porozmawiać – tłumaczył sobie Thomas. Najpierw porozmawia i zobaczy co z tego wyniknie. Może zdecydują się oddać dziecko dobrowolnie? Przecież na pewno jest dla nich tylko ciężarem. Wiedźmy nie są przecież najbogatszymi ludźmi. Więc może oddadzą dziecko? Wtedy mógłby im nawet za nie zapłacić. Właśnie. Może je po prostu od nich odkupić. Dlaczego nie? Niezręcznie się czuł. Gdyby miał po prostu na nie najechać i porwać chłopczyka, byłoby na pewno łatwiej, ale nie chciał tego robić. Ona uratowała jego synka, miał wobec niej jakiś dług wdzięczności. Dopóki go nie zmuszą nie zrobi tego



siłą. Będzie próbował, ile się da. Tyle może przecież zrobić. A jeżeli to nic nie da?

Podniósł się z fotela i rozejrzał po komnacie. Odkąd wróciła Ursula znowu panował ład i porządek. To trzeba było jej przyznać, na pewno dawała sobie radę z zarządzaniem zamkiem. Ściągnął usta. Starał się być dla niej miły. Przecież to obiecał. Nawet z nią rozmawiał o różnych domowych sprawach. Nazywał to uczucie poczuciem obowiązku. Może z czasem to się zmieni. Uniósł brwi. Ale na pewno musi najpierw załatwić sprawę z Miłkiem. Co za imię? Zmienia ją, jak tylko chłopczyk tutaj trafi. Na pewno będzie mu tutaj dobrze.

Thomas zawołał, aby osiodłać mu konia. Kilka chwil później już siedział w siodle i kierował się na bród. Przed chatą wiedźmy było pusto.

– Hej! – zawołał – jest tam kto?

– odpowiedziało mu tylko ujadanie psa spuszczonego ze sznura i rzucającego się za płotem.

– Chyba nigdzie daleko nie poszły – zastanowił się głośno. Przywiązał konia do gałęzi drzewa i usiadł na trawie. Poczeka.

Nadeszły po jakimś bliżej nieokreślonym czasie. Wyszły na polanę roześmiane i zadowolone. Na jego widok jednak śmiech zamarł im na ustach...

– Pokój temu domowi – zaczął spokojnie.

– I z tobą pokój – odpowiedziała matka Odiny. Nieświadomie wysunęła się przed córkę, zasłoniła ją i trzymane przez dziewczynę dziecko.

– Zastanawiałem się nad tym co powiedziałaś o moim synu – zupełnie nie wiedział, dlaczego powiedział właśnie te, a nie inne słowa.

– Tak? – zapytała uprzejmie, wciąż nie



*Wolę łagodne
światło szarych dni,
niż gwałtowne
kontrasty słońca.*

Tadeusz Makowski

zmieniając swojej postawy.

– Więc twierdzisz, że każda jego rana może zakończyć się śmiercią?

– Tak.

– Ale przecież tobie się udało ją zasklepić.

– Nie ja. Ja tylko znam się na ziołach.

– Więc może zawsze będziesz w stanie mu pomóc?

– Nie wiem panie.

– Czy możemy usiąść? – zapytał, wskazując równocześnie ławę przed domem. Marianna skinęła głową i weszła za płot. Odina spiesznie podążyła za nią. Thomas miał jednak możliwość, aby zobaczyć twarzyczkę dziecka. Utwierdził się w swoim postanowieniu. Usiadł już pewny tego z czym przyjechał. Musiał tylko znaleźć odpowiednie słowa. Cisza trwała dłuższą chwilę. Thomas zbierał myśli, a Marianna nie czuła się w obowiązku, aby do niego cokolwiek

mówić. Nawet nie wypadało zwracać się do pana, kiedy ten nie poprosi. I tak już było wystarczająco dziwne, że przyjechał do ich zagrody.

– Chyba niełatwo się wam tu żyje? – zapytał po chwili.

– Nie narzekamy.

– Z czego właściwie żyjecie?

– Z ziół... – Do czego on dąży, zadając im takie dziwne pytania. Od kiedy to pan interesuje się tym jak żyją jego poddani? Rozejrzała się za Odiną. Córka przezornie skryła się do izby, pozostawiając jej cały ciężar rozmowy.

– Twoja córka jakiś czas temu służyła u mojej matki.

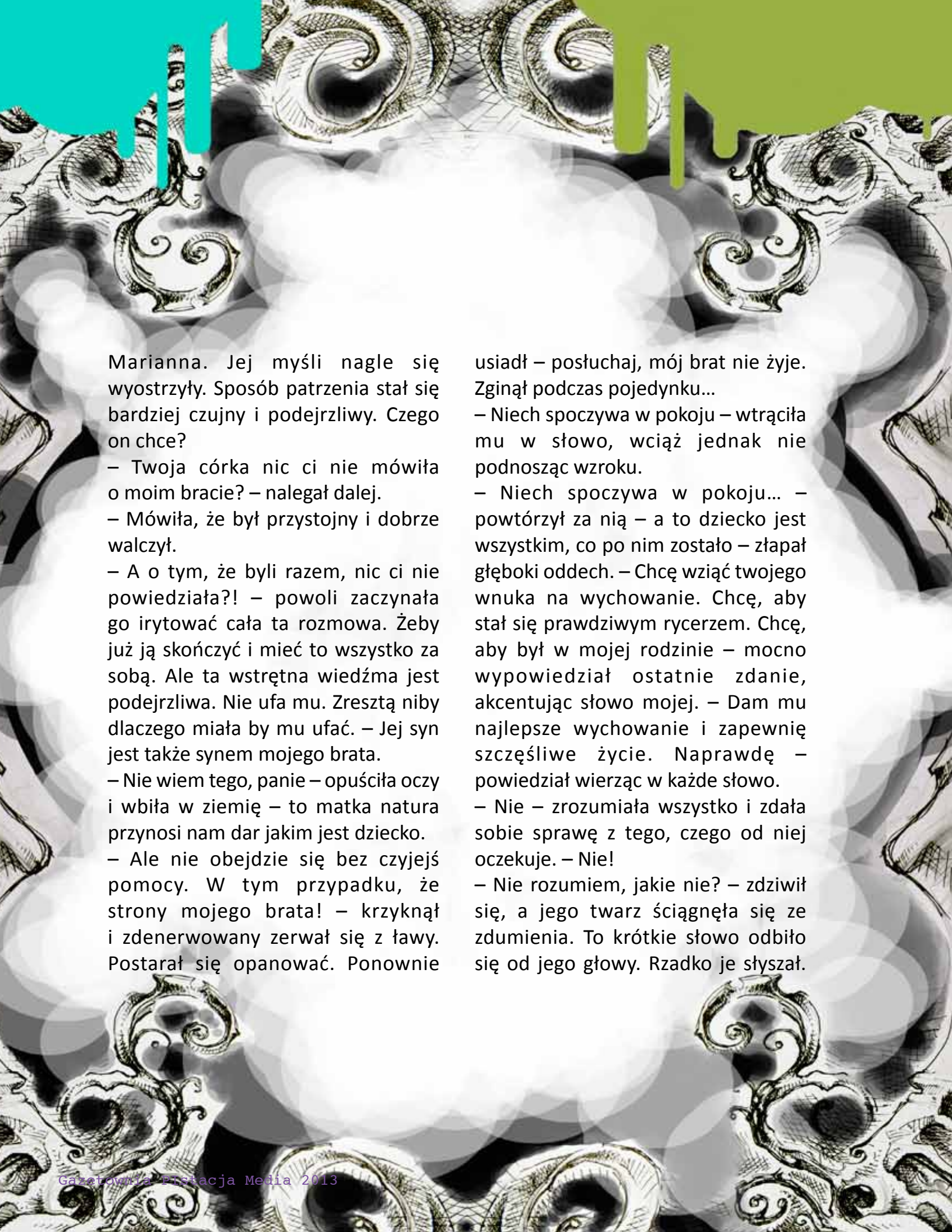
– Tak panie.

– Poznała wtedy mojego brata.

– Tego nie wiem, panie.

– Ale ja wiem. Spotykali się. Byli sobie bardzo bliscy.

– Nie mogę mówić o czymś, o czym nie wiem – przezornie odpowiedziała



Marianna. Jej myśli nagle się wyostrzyły. Sposób patrzenia stał się bardziej czujny i podejrzliwy. Czego on chce?

– Twoja córka nic ci nie mówiła o moim bracie? – nalegał dalej.

– Mówiła, że był przystojny i dobrze walczył.

– A o tym, że byli razem, nic ci nie powiedziała?! – powoli zaczynała go irytować cała ta rozmowa. Żeby już ją skończyć i mieć to wszystko za sobą. Ale ta wstrętna wiedźma jest podejrzliwa. Nie ufa mu. Zresztą niby dlaczego miała by mu ufać. – Jej syn jest także synem mojego brata.

– Nie wiem tego, panie – opuściła oczy i wbiła w ziemię – to matka natura przynosi nam dar jakim jest dziecko.

– Ale nie obejdzie się bez czyjejś pomocy. W tym przypadku, że strony mojego brata! – krzyknął i zdenerwowany zerwał się z ławy. Postarał się opanować. Ponownie

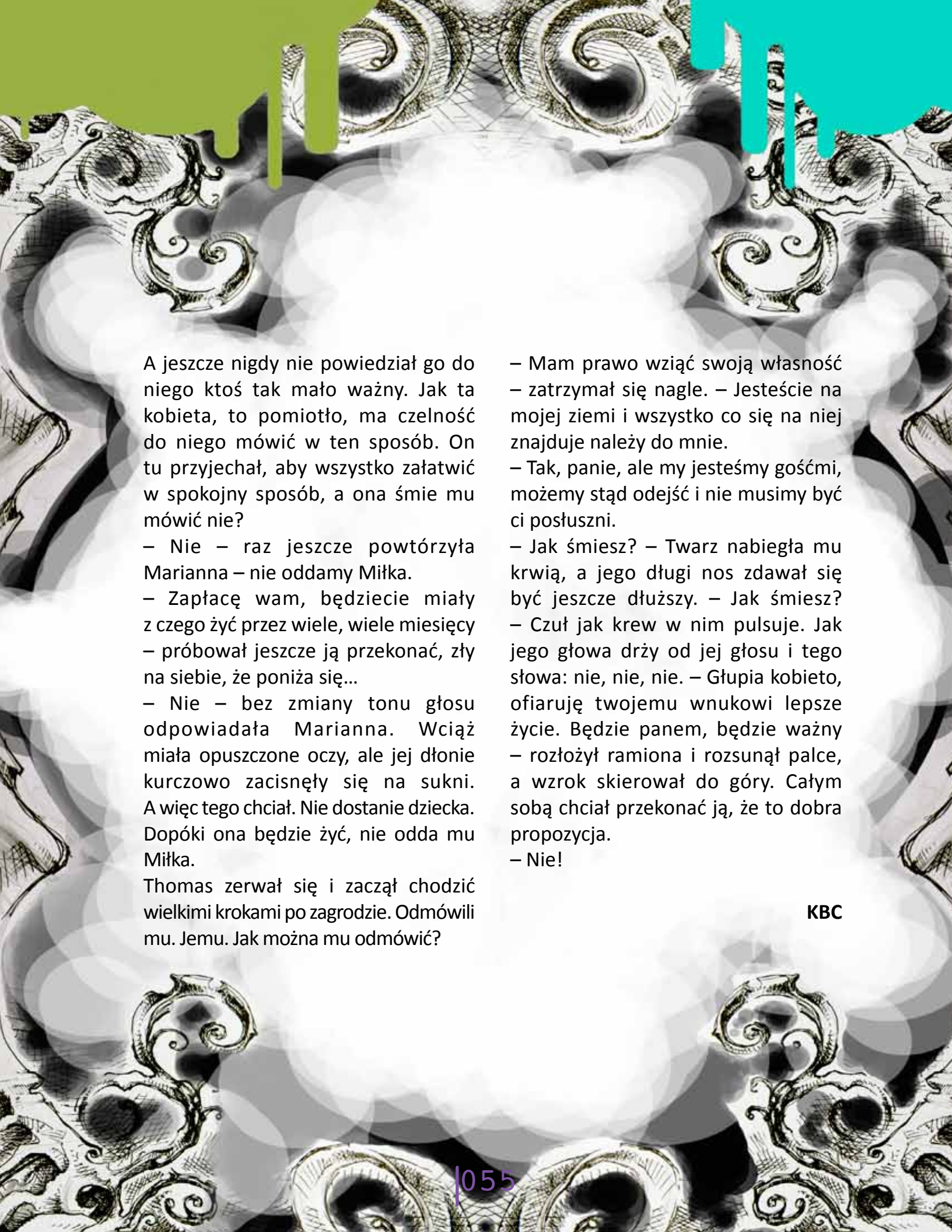
usiadł – posłuchaj, mój brat nie żyje. Zginął podczas pojedynku...

– Niech spoczywa w pokoju – wtrąciła mu w słowo, wciąż jednak nie podnosząc wzroku.

– Niech spoczywa w pokoju... – powtórzył za nią – a to dziecko jest wszystkim, co po nim zostało – złapał głęboki oddech. – Chcę wziąć twojego wnuka na wychowanie. Chcę, aby stał się prawdziwym rycerzem. Chcę, aby był w mojej rodzinie – mocno wypowiedział ostatnie zdanie, akcentując słowo mojej. – Dam mu najlepsze wychowanie i zapewnię szczęśliwe życie. Naprawdę – powiedział wierząc w każde słowo.

– Nie – zrozumiała wszystko i zdała sobie sprawę z tego, czego od niej oczekuje. – Nie!

– Nie rozumiem, jakie nie? – zdziwił się, a jego twarz ściągnęła się ze zdumienia. To krótkie słowo odbiło się od jego głowy. Rzadko je słyszał.



A jeszcze nigdy nie powiedział go do niego ktoś tak mało ważny. Jak ta kobieta, to pomiotło, ma czelność do niego mówić w ten sposób. On tu przyjechał, aby wszystko załatwić w spokojny sposób, a ona śmie mu mówić nie?

– Nie – raz jeszcze powtórzyła Marianna – nie oddamy Miłka.

– Zapłacę wam, będziecie miały z czego żyć przez wiele, wiele miesięcy – próbował jeszcze ją przekonać, zły na siebie, że poniża się...

– Nie – bez zmiany tonu głosu odpowiadała Marianna. Wciąż miała opuszczone oczy, ale jej dłonie kurczowo zacisnęły się na sukni. A więc tego chciał. Nie dostanie dziecka. Dopóki ona będzie żyć, nie odda mu Miłka.

Thomas zerwał się i zaczął chodzić wielkimi krokami po zagrodzie. Odmówili mu. Jemu. Jak można mu odmówić?

– Mam prawo wziąć swoją własność – zatrzymał się nagle. – Jesteście na mojej ziemi i wszystko co się na niej znajduje należy do mnie.

– Tak, panie, ale my jesteśmy gośćmi, możemy stąd odejść i nie musimy być ci posłuszni.

– Jak śmiesz? – Twarz nabiegła mu krwią, a jego długi nos zdawał się być jeszcze dłuższy. – Jak śmiesz?

– Czuł jak krew w nim pulsuje. Jak jego głowa drży od jej głosu i tego słowa: nie, nie, nie. – Głupia kobieto, ofiaruję twojemu wnukowi lepsze życie. Będzie panem, będzie ważny – rozłożył ramiona i rozsunął palce, a wzrok skierował do góry. Całym sobą chciał przekonać ją, że to dobra propozycja.

– Nie!

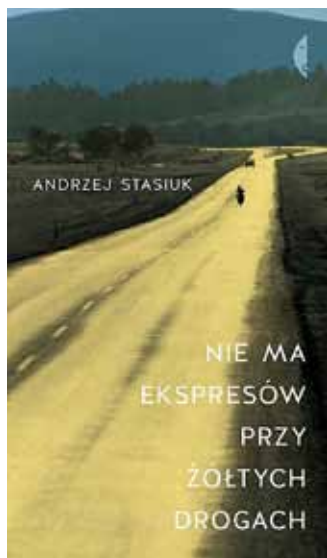
KBC



PRZEKLĘTA POETKA

Niepozorna objętość „Papuszy” nie powinna nas zmylić. W tak małej książeczce Angelice Kuźniak udało się zawrzeć dogłębne studium życia i twórczości Bronisławy Wajs. A nie jest to prosta opowieść. Uwielbiana przez Tuwima, sama swój talent uważa za przekleństwo. Odrzucona przez Cyganów za domniemaną zdradę tajemnic plemiennych. Przez Polaków jest traktowana jak obca, mimo że w Polsce urodzona. Kocha poezję, ale wstydzi się swoich wierszy. Nadwrażliwa, skrzywdzona i wreszcie popadająca w obłąd. Życiorys Papuszy opowiada o bólu, samotności, pogardzie, poczuciu wyobcowania. O stałym byciu pomiędzy. Niejako przy okazji opowiada też o życiu Cyganów od czasów wojny do przymusowego osadnictwa w Polsce Ludowej. I jakże to jest świetnie napisane! „Papusza” wciąga od pierwszych stron. Stwierdzenie tyleż banalne, co prawdziwe w przypadku tej książki. Angelika Kuźniak nie nudzi. Nie pisze nabożnej biografii z manierycznymi analizami twórczości Bronisławy Wajs. Pilnuje się, by nie tworzyć kolejnej legendy oderwanej od rzeczywistości. Nie idealizuje, bo bohaterka ideałem nie była. Nie roztkliwia się, choć zanurza się w czymś bólu po szyję. Jest rzetelna, drobiazgowa i przy tym nie pozbawiona empatii. Kuźniak nigdy nie poznała osobiście Papuszy. Nie przeszkodziło jej jednak w poprowadzeniu tekstu tak, jakby był zapisem osobiście wysłuchanej relacji. Z rozmysłem oddaje głos swojej bohaterce, by każdy czytelnik mógł ją poznać, poczuć i zrozumieć. Pierwszą refleksją po skończonym czytaniu było poczucie nadmiaru. Pozytywnego nagromadzenia informacji, emocji, pewnego poruszenia. Drugą - poczucie niedosytu, bo wadą też książki jest to, że czyta się ją zbyt szybko. Między dwoma biegunami? Tak jak życie Papuszy.

Angelika Kuźniak, *Papusza*, Czarne, Wołowiec 2013



LISTY Z PODRÓŻY

Kolejny Stasiuk jakiego lubię. Osobisty, nieco filozoficzny i barwny w opisie. Jak zwykle całość spięta klarownym, miejscami surowym językiem, którym pisarz celnie trafia w sedno. Tworzy markowe drobiazgi - tekściki, w których zawiera się cały jego wsobny świat, aktualne refleksje i ścieżki poszukiwań. Poszukiwań siebie, sensu, uniwersum.... „Nie ma ekspresów przy żółtych drogach” to już typowa jego proza artystyczno-dyskursywna. Smakowita. Zebrane teksty wcześniej ukazały się w prasie, głównie zagranicznej. I temu chyba zawdzięczamy lekki ton i niewielką objętość tekstów. Oczywiście, motywem przewodnim jest podróżowanie. Po co? Po to, co zawsze. By tą jazdą, jak sam pisze, na „wskroś rzeczy i zdarzeń najważniejszych” zatrzymać pojedyncze chwile. Momenty, które urocą i zamyślają. Całości narzuca bardzo prywatną perspektywę. Mówi: „sprawdzam, gdzie byłem, gdzie jestem, dokąd się wybieram”. Nowym tropem jest wypuszczanie się w bardziej odległe zakątki. Stasiuk prowadzi nas do Mongolii, Kirgizji czy Chin. Zestawia to jednak z bliskim - tym, co się dzieje w szopie, za rogiem, na pobliskim polu. Czy też kieruje nas do miejsc swojego dzieciństwa, szukając śladów po dzieciństwie u dziadków. Od czasu do czasu opisze amerykańską prowincję czy kościoły w PRL-u. „Nie ma ekspresów...” kontynuuje wcześniejsze teksty Stasiuka z genialnym „Fado” na czele. Czy ten zbiór daje coś istotnie nowego? Raczej nie. I nie o to chodzi, moim zdaniem, w tej prozie. Jej niepodważalną zaletą jest wyhamowanie czytelnika. Nie znajdziemy tu żadnych aktualności, lokalnych czy ponadlokalnych piekiełek, pośpiechu. Znajdziemy spokój, zatrzymanie i ciszę. Po prostu wart(kie) życie.

Andrzej Stasiuk, *Nie ma ekspresów przy żółtych drogach*,
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013

Agata Wiśniewska

NIC NIE DZIEJE SIĘ przypadkiem



Anna Jankowska

Wiedziała, że ten cholerny stary jak świat budzik w końcu ją zawiedzie. Czują do niego niezrozumiały sentyment. Miał przecież nieprzyjemny alarm i był okropnie obdrapany. Zresztą, nigdy nie był urodziwy – w tamtych czasach trudno było kupić coś ładnego. Dostała go na trzynaste urodziny od starszej siostry. Siostry, z którą od piętnastu lat nie zamieniła słowa. Zdecydowanie nie mogła zrozumieć, dlaczego go jeszcze nie wyrzuciła. Przecież mogłaby używać budzika w komórce! No i stało się. Złom nie zadzwonił i dlatego właśnie zaraz będzie biegła na złamanie karku z taksówki do pociągu, który niestety nie ma powodu, żeby na nią zaczekać. Wszak nie była ani prezydentem, ani premierem, ani nawet wpływowym biznesmenem. Była, jak to się mówi, pracownikiem naukowym i właśnie spóźniła się na pociąg do Krakowa, który miał ją zawieźć na międzynarodową konferencję. Miała tam wygłosić wiekopomny (oby) referat pod tytułem „Badanie charakterystyki asocjacji ksantonu i naftalenu w roztworach metodami laserowej fotolizy błyskowej”. Tylko właśnie, przez niewyjaśniony sentyment do starych śmieci, traciła na to szansę.

– Dwadzieścia cztery złote – powiedział znudzony taksówkarz, który wydawał się nie rozumieć jej wzburzenia.

Dała mu trzydzieści i nie czekając na resztę, wybiegła. Całe szczęście, że знаła Centralny jak własną kieszeń i wiedziała, że Kraków zawsze odjeżdża z trzeciego. Nawet „przedeurowe” remonty nie mogły jej przeszkodzić. A może „przedeuralne”? E, była fizykiem a nie polonistą, nie musiała chyba wiedzieć. Wiedziała za to, że ma minutę i jak nie zdąży, to kariera naukowa jej tego nie wybaczy. Jest! Sto! Jeszcze tylko nieczynne oczywiście ruchome schody i sukces!

Joanna nie wierzyła własnemu szczęściu. W ostatniej chwili wskoczyła do pociągu, któremu odgwisziano już odjazd. Odetchnęła i zaczęła powoli iść korytarzem, szukając wolnego miejsca. Pierwszy przedział zajęty, drugi zajęty, trzeci i czwarty też. Trudno, w najgorszym razie za spóźnienie zapłaci jazdą na korytarzu.

Przechodząc obok kolejnego przedziału, usłyszała jak ładna blondynka strofuje jedną ze swoich dwóch córeczek:

– Ninka, siedź spokojnie, przecież potrącasz panią! Przepraszam bardzo!

– Ninka, rzadkie imię – pomyślała.

Tak nazywa się jej siostra. Śmieszne, przypomniała jej się dziś już drugi raz. Nieczęsto jej się to zdarza. W przedziale było jedno wolne miejsce, ale chciała przejrzeć jeszcze spokojnie swój referat i pomyślała, że obecność dzieci może jej w tym przeszkodzić. Na szczęście w następnym były nawet dwa wolne fotele. Ledwo jednak zdążyła usiąść i uruchomić laptop, zajrzał młody chłopak. Spytał, czy ktoś bez bagażu zgodziłby się przenieść do sąsiedniego przedziału, bo z dziewczyną chcieliby usiąść razem. Poza tym potrzebują miejsca na półce na swoje plecaki, a obok wszystko zapchane. Cóż, jakoś nikt się nie ruszył, więc stwierdziła, że skoro jej już dziś się poszczęściło, to niech się poszczęści i innym. Zamknęła komputer, zaprosiła młodych na swoje miejsce i, sprawdzwszy, że w kolejnym przedziale jest pełno, wróciła do miniętego wcześniej. Usiadła na przeciwko mamy i dwóch dziewczynek. Trudno, jej referat jakoś musiał to przetrzymać. Zresztą, może będą grzeczne i uda jej się skupić. Położyła laptop na kolanach i zaczęła przyglądać się sąsiadkom z naprzeciwka. Mama, blondynka o pełnej, uśmiechniętej twarzy, co jakiś czas uważnie zerknęła znad kolorowej gazety na bawiące się obok córeczki. A, ta większa, na oko siedem lat, miała na imię Nina. Co ciekawe, nie tylko z imienia przypominała jej siostrę. Była niezwykle podobna do małej Ninki: te same ciemne, proste włosy i ciemne oczy. Zresztą, ta druga, mniejsza, wydała jej się z kolei uderzająco podobna do niej samej sprzed lat. Rudawe włosy zaplecione w warkoczki, zadarty nos. Złapała się na tym, że chciałaby, żeby młodsza miała na imię Asia, tak jak ona. Żeby obie były tak jak one – Asia i Nina.

– Karolinko, siedź spokojnie – powiedziała łagodnie blondynka w tym momencie.

Poczuła coś na kształt rozczarowania, ale zaraz skarciła samą siebie za ten nieoczekiwany i zupełnie niepotrzebny sentymentalizm. Skąd w ogóle naszły ją takie myśli? Praktycznie nigdy jej się to nie zdarzało. Szybko przeniosła wzrok ze współpasażerek za okno. Uwielbiała patrzeć na przesuwający się za oknami pociągu krajobraz. Opuszczali właśnie przedmieścia Warszawy. Migły jej przed oczami bloki, domy i domki Pruszkowa, a może już Grodziska? Za chwilę wjechali między wysokie nasypy wzdłuż linii kolejowej i nie było już na co patrzeć. Oderwała wzrok od okna i zajęła się przeglądaniem prezentacji. Ale ledwo zdążyła przeczytać dwa pierwsze slajdy, przerwał jej ryk młodszej z dziewczynek.

– Co się stało?! – matka złożyła gwałtownie czasopismo i patrzyła badawczo na obie córki – Karolinko, uspokój się proszę, córeczko i powiedz, o co chodzi, Ninka, czy wy nie możecie nawet pół godziny pobawić się spokojnie?

– Bo, bo, bo ona nie chce mi oddać... – wyjąkała przez łzy Karolinka.

– Czego ci nie chce oddać? Ninka, zabrałaś jej coś?

– Nie zabrałam, sama mi dała – odpowiedziała stanowczo Ninka.

– Nieprawda! Tylko pożyczyłam! Oddaj pieska! – chlpała Karolinka, próbując złapać siostrę za rękę, w której ta trzymała małą pluszową maskotkę.

– Nie oddam – Nina obstawała przy swoim.

– Głupia jesteś! – obraziła się mała.

– Sama jesteś głupia!

– Dziewczynki! Dość tego! – mama stanowczo przerwała tę dziwnie znajomą Joannie wymianę zdań. – Nina, nie drocz się z siostrą i przeproś ją. Karolcia, ty też przeproś Ninę. I nie przezywajcie się więcej. Bardzo was proszę.

Niestety, dziewczynki nie miały zamiaru pogodzić się tak łatwo. Co prawda Nina oddała siostrze zabawkę, ale siedziały obie z naburmuszonymi minami i na zmianę pokazywały sobie języki. Joanna uśmiechnęła się leciutko i pomyślała, że nie ma tego złego, bo teraz może przez jakiś czas będą cicho. Jednak mama dziewczynek najwyraźniej była innego zdania. Mimo lekkiego oporu małej, posadziła sobie młodszą córeczkę na kolanach, drugą poprosiła, by przysiadła się bliżej, objęła obie ramionami i zaczęła cichutko śpiewać:

– Nie chcę cię, nie chcę cię, nie chcę cię znać! Chodź do mnie, chodź do mnie, rączkę mi daj...

Przecież to niemożliwe! Joanna zamrugnęła gwałtownie oczami, które bez uprzedzenia zrobiły się jakieś wilgotne. Znała doskonale dalszy ciąg: „Prawą mi daj, lewą mi daj i już się na mnie nie gniewaj...”. Gdy były małe, mama śpiewała im tę piosenkę, by je pogodzić po kłótni albo „odobrazić”. Nigdy, ale to nigdy nie widziała, by śpiewał ją ktoś jeszcze. To niemożliwe, żeby słyszała ją teraz, w jakimś pociągu, w przypadkowym przedziale...



– Prawą mi daj, lewą mi daj i już się na mnie nie gniewaj – powtórzyła drugi raz mama Niny i Karolci.

– A może to nie jest przypadek? – krótka jak mgnienie oka myśl błysnęła w głowie Joanny, ale zaraz odrzuciła ją jako niedorzeczną.

Jako doktor fizyki uważała przecież cały świat za racjonalny i nie wierzyła w żadne znaki losu i inne tego typu głupoty. To Nina była specjalistką od przeznaczenia, nieprzypadkowych przypadków, znaków etc. Jej ulubione stwierdzenie brzmiało zresztą: nic nie dzieje się przypadkiem. Joanna nigdy tego nie rozumiała. Fizyka, matematyka, racjonalność i obliczalność – to ją fascynowało, to był jej świat. Właśnie, i najwyższy czas było do tego świata wrócić. Referat czekał i z coraz większą niecierpliwością prosił o ostateczne przejrzenie. Na szczęście atmosfera w przedziale wydawała się wreszcie sprzyjająca – dziewczynki, już pogodzone, po cichu oglądały jakąś książeczkę, za oknami ciągnął się nieciekawy lasek – więc Joanna bez przeszkód zatopiła się w asocjacji ksantonu i naftalenu.

Była bardzo dumna z tego referatu. Długo nad nim pracowała, przez ostatnie miesiące laboratorium stało się jej drugim domem. Ale opłaciło się! Docenili jej badania i zaprosili ją na międzynarodową konferencję biochemii i biofizyki. Nie mogła nie przyznać przed samą sobą, że była bardzo podekscytowana. I pomyśleć, że przez idiotyczne przywiązanie do zdezelowanego budzika, który już dawno powinien znaleźć się w koszu na śmieci, omal nie straciła tej życiowej szansy! Joanna z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Bilety do kontroli prosz...! – donośny bas wyrwał ją z zamyślenia.

Zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu biletu. Całe szczęście, że kupiła go sobie wczoraj przez internet i wydrukowała w domu, bo teraz musiałaby nadpłacać! O, jest! Wyciągnęła bilet z kalendarza i podała konduktorowi.

– Proszę pani, ale to jest bilet do Krakowa! – powiedział zdziwiony.

– No pewnie, że do Krakowa, a dokąd ma być? – spytała z rozbawieniem.

– Ten pociąg, proszę szanownej pani, jedzie do Łodzi.

– Jak to do Łodzi?! – Joannie zrobiło się gorąco – Jak to do Łodzi?! To nie jest pociąg do Krakowa?! Matko Boska! – Joanna wyjrzała odruchowo za okno, jak gdyby chciała sprawdzić, gdzie jest, ale przecież te cholerne pola wszędzie wyglądają identycznie!

– Przykro mi, tak jak powiedziałem – do Łodzi. Rozumiem, że nie posiada pani ważnego biletu na przejazd? W takim razie zaraz pani wypiszę. To będzie trzydzieści złotych.

Joanna mechanicznie wyjęła odpowiednią kwotę z portfela, wręczyła konduktorowi i odebrała bilet. Przez chwilę patrzyła na trzymany w ręku kawałek papieru. O dziwo wcale nie myślała o konferencji. Miała w głowie zupełny mętlik. Po chwili, kotłujące się w myślach zdarzenia nieoczekiwanie utworzyły ciąg. Budzik – prezent od Niny, imię siostry zasłyszane na korytarzu, przeniesienie się do przedziału Niny i Karolinki, piosenka na zgodę zaśpiewana przez mamę... Stop! No i co z tego?! Od kiedy zwykła przejmować się przypadkami?!

Tylko, że Łódź to jej rodzinne miasto. Tam została jej starsza siostra Nina, podczas gdy ona piętnaście lat temu zatrzasnęła za sobą drzwi i uciekła do Warszawy.

Łódź. Nina. Piosenka na zgodę. Nic nie dzieje się przypadkiem.

AJ

PORTRET z tomiku **Sen**
na początku grudnia **Ianina Hahula**

Idealny mężczyzna
Zabójca z zimną krwią
Trzymasz mnie pod dłońią
Jak muchę
I szepczesz słodkim uśmiechem
Jesteś wolna
Aniele zielonooki
Groźny tyranie
Dusisz mnie srebrnymi łańcuchami
I mówisz
Wszystko od ciebie zależy
Źródło mojej radości
Demonie z jasnym uśmiechem
Posądzasz mnie o chłód
I szepczesz
Jestem tylko twoim

10 lutego 2006, Suczawa

Ianina Hahula – urodzona 29 lipca 1984 roku
w Suczawie, na rumuńskiej Bukowinie,
w rodzinie o polskim pochodzeniu.
Absolwentka animacji kultury
na Uniwersytecie Jagiellońskim.





Pobieżnie

Paweł Radźko



Co to znaczy być kulturalnym? To takie zawirowane słowo, które towarzyszy mi bez przerwy, czai się gdzieś na co dzień i wyskakuje nagle, gdy odwiedzam galerię, teatr lub podobną instytucję. Zawsze uważałem, że dobre towarzystwo to takie, które nie zaczyna klaskać podczas przerwy w suicie. Ale jak żyć by się tak nie wygłupiać?

Raczej bardzo mało ludzi wymieni co najmniej kilka utworów Debussy'ego lub przynajmniej kojarzy styl Wojciecha Weissa. Czy to zaskakujące? Chyba nie. W dzisiejszej dobie łatwej rozrywki i wybitnie ułomnej edukacji estetycznej trudno się dziwić temu stanowi rzeczy. Poza tym czemu miałoby się wymagać wiedzy eksperckiej z dziedziny literaturoznawstwa, historii sztuki, czy muzykologii? Osobiście uważam, że pewne podstawy są jednak niezbędne, tak jak w każdym aspekcie życia.

Lecz czy nie bardziej kuszące jest powiedzieć, że to nie obycie się liczy, ale to kim się jest i kim się staje przez działanie? Czy nie najważniejsza jest Idea? Bo czym byłby obraz, wiersz, rzeźba, gdyby nie pomysł, który dał jej życie? Byłby również niczym, gdyby nie nasze (nawet jeśli poparte nikłym doświadczeniem) doznawanie i interpretacja dzieła. Dlatego każdy – nawet najobojętniejszy laik – ma w sobie pierwiastek artyzmu, element twórczej siły, która zmienia świat wokół niego. Pisanie tego artykułu uważam za najlepszy przykład

prostej kreatywnej i jakże radosnej twórczości.

A co do przyjmowania kultury: byłem w wielu galeriach Krakowa. Wszystkie są podobne, lecz jedna się wybija. To „New Roman” – 27 m² przestrzeni bez narzuconej funkcji, pozbawionej zbędnych atrybutów, w której to pomysł generuje znaczenie – jak mówią sami jej twórcy. Dwa pokoje z balkonem, w których ściany trzymają zdjęcia. To zupełnie inne podejście do sztuki wystawiania. Pozwala być bliżej dzieła, pozwala je poczuć, pozwala przemyśleć. Starając się unikać robienia reklamy mogę jednak z czystym sumieniem polecić „New Roman” jako jedno z tych magicznych miejsc w Krakowie, gdzie patrzy się na znane rzeczy pod nieco innym kątem.

Czy więc kultura jednostki zależna jest od sposobu pokazywania dorobku ludzkości? Niewątpliwie, ale tylko od nas zależy co z wiedzą taką zrobimy, jak ją wykorzystamy i – co najważniejsze – jak ją wzbogacimy. Dlatego warto zrobić od czasu coś kreatywnego lub chociaż o czymś kreatywnym przez chwilę pomyśleć. To właśnie kulturalny osobnik.

Przyczynek do Galerii

Monika Mikołajek

Cóż, w tą dość wątlej kondycji złotą jesień, która coraz już częściej ulega rozszalałej plusze, poniewierając liśćmi i nastrojami, zmarznięta myśl posłana w poszukiwaniu skojarzeń ze słowem galeria, nieśmiało przywodzi za sobą „Galerię Potworów” Agnieszki Osieckiej. Całkiem niedawno zresztą, mijła kolejna rocznica jej urodzin. Urodziła się w październiku i nie wyobrażam sobie by mogło być inaczej. Bo całe jej pisanie utrzymane jest właśnie w kolorach jesieni. Słowa, czy to piosenki, prozy czy dramatu, czy na poważnie, czy z przymrużeniem oka, to dla mnie odcienie czerwieni, złota i żółci na szarym niebie. To ciepłe barwy dobrych uczuć, lecz zawsze na nostalgicznym, z zasady pochmurnym tle.

Tak więc, jeśli rzecz o galerii, to tylko „Galerii Potworów”.

Jest w książce tej rozdział „Szatniarz umyty”, o szatniach wszelakiego rodzaju dla Agnieszki Osieckiej z tego, czy innego powodu znamiennych. To właśnie w szatniach tych, a nie na wielkich salach, skupiało się wówczas życie galerii, szkół i przednich lokali. Zdawać by się nawet mogło, że to właśnie szatnia stanowiła konieczny przyczynek do zaistnienia tej, czy innej instytucji. Opisuje ona w „Galerii” szatnię krakowskiego lokalu „Feniks”, gdzie wciąż niebiesciło się od mundurów. Cytując autorkę:

„Tymczasem w szatni przez całe noce kotłowało się niesamowicie. Ktoś kogoś „spisywał”, ktoś się z kimś tarmosił jak niedźwiedź, ktoś do kogoś przepijał, a gdzieś tak o czwartej nad ranem więcej śladów życia dobiegało z szatni niż z sali. I tylko, niczym osobliwy toast z żywaczańskim przydechem, taki się stamtąd wydobywał tekst:

- Oj, bo cię spiszę!

- Oj, bo ja ciebie spiszę!”

Przesiadывała w „Feniksie” w roku 1965, jak twierdzi z rozpachy pisząc przedstawienie „Niech no tylko zakwitną jabłonie”. Kiedy skończyły się jej pieniądze, nocowała za szafą Związku Literatów na Krupniczej, słynnych „Czworakach”. W tamtejszej szatni z kolei prym wiodła legendarna już szatniarka Pani Lola, czyli Karolina Surówka, która ponoć pełniła również funkcję gońca, woźnej i dozorkczyni, paląc wychudzonym literatom w piecach i przynosząc wódkę z meliny. Bronisław Maj, który mieszkał tam w latach osiemdziesiątych, stwierdził, że Pani Lola nigdy nie posunęła swego wścibstwa tak daleko, by czytać książki znajomych pisarzy. Wisława Szymborska opowiadała, że choć brzydka jak noc, miała powodzenie, a na schodkach pod jej mieszkaniem wciąż przesiadywali adoratorzy. Jeśli nagle skądś rozlegały się dźwięki gitary, wiadome dla wszystkich było, że któryś z nich dostał przepustkę lub wyszedł z więzienia. Pani Lola mieszkała na Krupniczej nieprzerwanie od 1945 roku. Znała wszystkich, którzy przewinęli się przez tę kamienicę, choć pod koniec życia nie pamiętała już nikogo.

Tak więc biegnąc myślą za pomysłem Agnieszki Osieckiej, niechże i dla nas szatnia będzie miejscem istotniejszym niż galeria. Lub choć równie ważnym jak obszar, gdzie wystawiamy się na próbę lub pośmiewisko, ale nigdy na pokaz.

MM

Co ja poradzę na to, że lubię życie?

Karolina Kapusta

Jestem kontemplatorką. Hmm, nie ma takiego słowa? Ależ jest. I to nie tylko w mojej głowie. Jestem widzem. Oglądam, przyglądam się, patrzę, podziwiam. To, co widzę, wywołuje u mnie różne reakcje: czasem uśmiecham się pod nosem, czasem mamroczę sobie z zadowolenia, a czasem po prostu marszczę nos. Oglądam. Czasem to, co widzę, boli. Czasem zalezie mocno za skórę i piecze, niemal swędzi, aż chce się rozdrapać to miejsce w głowie do czerwoności, żeby tylko przestało tak irytująco dokuczać. Czasem śmiesz, a czasem jeszcze zwyczajnie raduje. Życie. Jestem kontemplatorką życia. Codzienności. Zwyczajności. Tej, która jest tak spowszedniała, że już jej nie zauważamy i nie doceniamy. A może pozostając wciąż w pogoni za tym wydumanym, wymyślonym, za wciąż lepszym jutrem, zapominamy, że to życie jest celem?

Co ja poradzę na to, że lubię życie? Lubię patrzeć na ludzi. Zamyślonych, smutnych, zdenerwowanych, czasami wykrzykujących swoją irytację w telefon, nie bacząc na fakt, że obok przechodzący są niemymi świadkami ich złości. Lubię patrzeć też na tych zabieganych, w wiecznym pośpiechu, w samochodach, na skuterach, nawet na tych, co pieszo gdzieś biegną, nie mając czasu zerknąć na piękne złoto-brązowe liście, opadające z drzew przy najmniejszym podmuchu wiatru i zaścietające ulice kolorowym dywanem. Lubię tych „biegaczy”, wciąż zaaferowanych brakiem czasu, wyznaczonym celem, nadchodzącym spotkaniem, wizytą u dentysty... czy po prostu czymś, co tkwi w ich głowach i popycha do przodu. Lubię też tych, co spokojnie się przechadzają, powoli, smakując każdy krok. I tych, którzy biegną, ale potrafią przystanąć kiedy ich coś zdziwi, jakby od czasu do czasu dopuszczali do głosu swoje wewnętrzne dziecko, ale tylko od czasu do czasu, bo przecież dorosłym nie wypada...

Najbardziej (oczywiście) lubię patrzeć na tych uśmiechniętych. Matka radośnie ćwierkająca do dziecka w wózku. Dziewczyna czytająca miłego sms'a z błogim szczęściem na twarzy. Mężczyzna w dobrze skrojonym płaszczu, obdarzający uśmiechem i ciepłym głosem kogoś po drugiej stronie słuchawki. Koleżanki przy kawiarnianym stoliku, wymieniające uwagi... a może ploteczki? Panie na pocztce (tak!) nie umiejące się obronić przez zaraźliwą siłą uśmiechu klienta... I wreszcie moja najulubieńsza kategoria: dorośli uśmiechający się do swoich własnych myśli, czasem nawet śmiejący się w głos, gdy sobie coś przypominą... Jak szaleńcy i wariaci, co pijani zwyczajnym szczęściem i radością, nie zwracają uwagi na to, czy ktoś patrzy, czy ktoś widzi i co myśli.

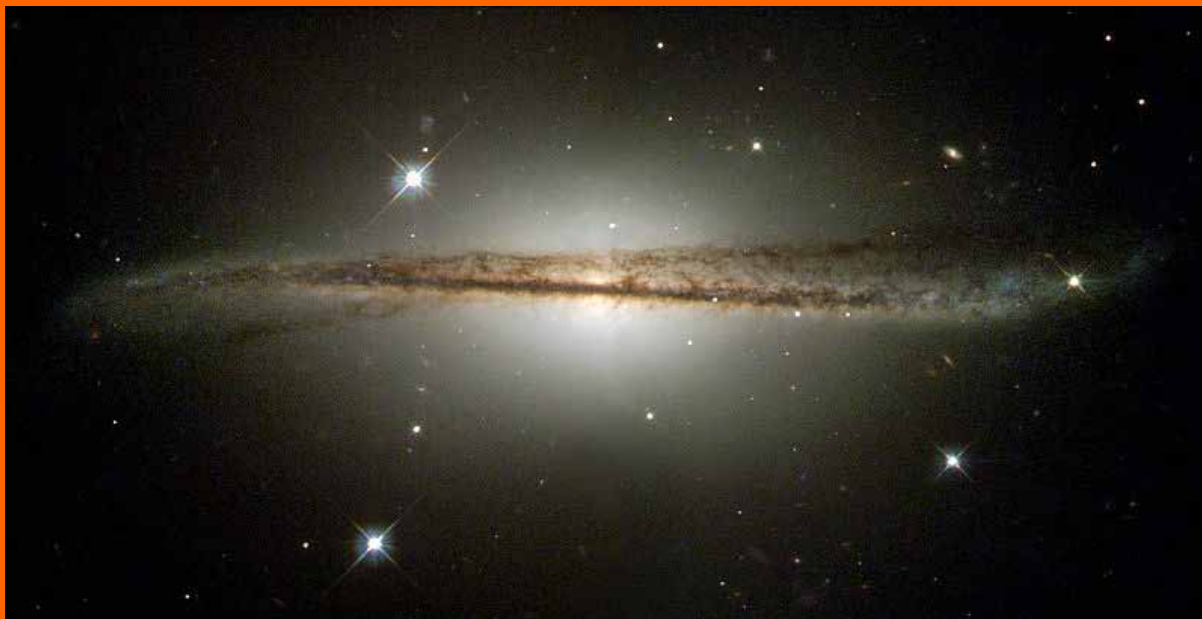
I dzieci. No, przecież! Zawsze szczere. Radosne i szczęśliwe, gdy jest im dobrze. Bez najmniejszego skrępowania wyrażające swoje uczucia. Te dobre i te gorsze. Płacz, gdy się przewrócą. Zniecierpliwienie, gdy czegoś chcą, bo przecież to musi być natychmiast, już! Perlisy śmiech, gdy stado gołębi podrywa się do lotu, śmiech, na który nie sposób nie odpowiedzieć uśmiechem. Zdumienie, gdy po raz pierwszy siądą na huśtawce. I zamyślona kontemplacja świata na huśtawce po raz drugi i trzeci...

Oto moja własna prywatna galeria sztuki. Bo przecież życie jest sztuką... Najpiękniejszą ze wszystkich.

KK

Jak kolorujemy niebo

Michał Lewandowski



Rysunek 1 Galaktyka ESO 510-G13. Zdjęcie wykonane Kosmicznym Teleskopem Hubble'a, NASA.

Kiedy patrzymy na nocne niebo z Ziemi, wszystko co widzimy to białe kropczki na czarnym tle. Oglądając filmy i zdjęcia zrobione przez astronautów w przestrzeni okołoziemskiej również wszystko, poza naszą planetą, jest czarno-białe. Dlaczego więc zdjęcia z dalekiego kosmosu, robione przez sondy albo teleskopy kosmiczne, są tak pięknie kolorowe?

Zdjęcia obiektów kosmicznych robi się trochę inaczej niż zwykłe amatorskie zdjęcia na Ziemi. Główną różnicą jest to, że używa się filtrów barwy. Gdybyśmy robili zdjęcia bez filtrów tak dalekie obiekty nadal byłyby po prostu białymi plamkami albo białą mgiełką. Nakładając taki filtr na kamerę zbiera ona na przykład tylko światło czerwone, albo tylko światło niebieskie. Jako że widzialne obiekty kosmiczne w teorii świecą we wszystkich długościach fali elektromagnetycznej, czyli we wszystkich kolorach, po nałożeniu jakiegoś filtra będzie on jaśniejszy lub ciemniejszy. Teraz robi się zdjęcie jakiegoś obiektu, gwiazdy, galaktyki albo jakiejś mgławicy, w kilku różnych filtrach i sprawdza się, w którym z tych filtrów dany obiekt jest najjaśniejszy. Kolor, w którym jest najjaśniejszy, uznajemy za kolor tego obiektu, lub w przypadku



Rysunek 2 Mglawica planetarna NGC 2818, zdjęcie zrobione Kosmicznym Teleskopem Hubbl'a.

mgławic czy galaktyk jakiegoś rejonu. Po nałożeniu na siebie tych kilku zdjęć w różnych kolorach otrzymujemy pokolorowane zdjęcie.

Innym sposobem jest używanie filtrów cząsteczkowych. Zbiera ono wtedy promieniowanie, które pochodzi od jakichś konkretnych cząstek, na przykład wodoru, albo tlenu. Każdemu z tych pierwiastków przypisuje się inny kolor, zwykle według tak zwanej palety Hubbla, dzięki czemu można pokolorować zdjęcie. Otrzymujemy dzięki temu informacje o tym jak w obserwowanym obiekcie rozłożone są różne pierwiastki, które mogą być wykorzystane w późniejszych badaniach.

Dodatkowo, niektóre teleskopy wyposażone są w detektory takich długości fali elektromagnetycznych, których człowiek nie jest w stanie zobaczyć okiem, na przykład fal rentgenowskich albo radiowych. Przeskalowuje się wtedy takie obrazki do tego, co by było gdyby można je widzieć. Dodatkowo też koloruje się różne interesujące naukowców w danym momencie rzeczy. Dlatego też ten sam obiekt z różnych teleskopów może wyglądać inaczej.

Tak oto powstają te piękne zdjęcia z odległych rubieży kosmosu, które można podziwiać w różnych internetowych galeriach oraz artykułach popularno-naukowych.

ML

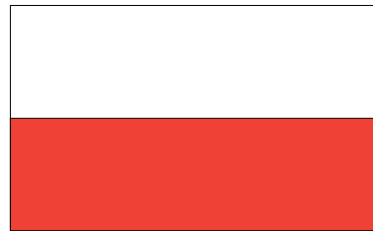
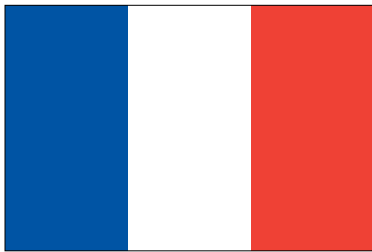
BABEL babel
babel BABEL BA
BEL babel babel
BABEL BABEL ba
bel babel BABEL
BABEL babel babel
BABEL BABEL BAB
EL babel BABEL ba
bel BABEL babel BA
BEL babel BABEL ba
bel BABEL babel BAB
L babel BABEL babel

La pastèque

Mintoft

Arbuz

Mintoft



– Monsieur Kowalski soyez compréhensif, pensez à nos familles, nos enfants...

– Ecoutez Valdez, nous en avons discuté au téléphone, je me suis déjà montré plus que compréhensif. Je suis prêt à prendre la marchandise mais je ne peux vraiment pas vous payer plus que les prix fixés. Je vous fais une fleur en prenant quand même vos pastèques, j'aurais tout aussi bien pu m'adresser à quelqu'un d'autre.

Valdez s'épongea le front avec un mouchoir. Il dégoulinait malgré l'air conditionné. Qu'allait-il dire à tous ces hommes qu'il représentait ? Il était censé défendre leurs intérêts. Depuis deux ans, il luttait pour que les choses bougent. La Compagnie, dont Valdez ne connaissait qu'un seul membre, Kowalski achetait des pastèques à des prix excessivement bas. Elle les revendait ensuite à des clients européens avec un bénéfice de près de cinq cent pour cent. C'était humainement inacceptable. Pourtant, Valdez et les paysans dont il était le porte-parole n'avaient guère le choix : ou bien ils cédaient leurs pastèques au prix dérisoire dicté par Kowalski, ou bien ils ne les vendaient pas du tout. Les cultivateurs avaient tenté un ultime chantage pour forcer La Compagnie à

– Panie Kowalski, niechże pan zrozumie... nasze rodziny, nasze dzieci...

– Słuchajcie Valdez, dyskutowaliśmy już przez telefon; wykazałem już wtedy dużo zrozumienia. Jestem gotów wziąć towar, ale naprawdę nie mogę zapłacić więcej, niż podałem. I tak robię to dla pana, biorąc pańskie arbuzy – mógłbym przecież zwrócić się do kogoś innego.

Valdez otarł czoło chusteczką. Pot lał się pomimo klimatyzacji. Co ma powiedzieć ludziom, których reprezentuje? Miał przecież bronić ich interesów.

Od dwóch lat walczył, żeby coś się zmieniło. Firma, w której Valdez znał tylko jednego przedstawiciela, Kowalskiego, kupowała arbuzy po cenach nieprzyzwoicie niskich. Odsprzedawała je następnie europejskim klientom z zyskiem blisko pięciokrotnym. To było po ludzku nie do przyjęcia. Jednak Valdez i chłopci, których był rzecznikiem, nie mieli praktycznie wyjścia: mogli albo oddawać arbuzy po żałosnych cenach dyktowanych przez Kowalskiego, albo nie sprzedawać ich wcale.

Producenci próbowali ostatecznych środków nacisku, by wymusić na firmie podwyższenie ceny skupu: zablokowali towar. Od dwóch tygodni około



augmenter son offre : ils avaient bloqué la marchandise. Depuis deux semaines, quelques trois cent tonnes de pastèques attendaient que les paysans acceptent les conditions de Kowalski. Les paysans finiraient par céder. Tout le monde le savait : Valdez, Kowalski, les pastèques... la chaleur aidant, d'ici quelques jours elles seraient invendables.

– Alors Valdez, dit Kowalski avec une légère note de triomphe dans la voix, vous signez ?

Il tendit à l'autre un stylo-plume plaqué or. Valdez fit une grimace indéfinissable, saisit le stylo et signa comme à contre-cœur.

– Paaarfait, fit Kowalski en remettant le capuchon sur son stylo, naturellement je n'oublie pas vos 0,6 pour cent.

Valdez avait l'air absent, il dit d'une voix sourde :

– J'avais espéré que vous accepteriez notre proposition et j'avais apporté ceci pour vous. Prenez le tout de même.

Il passa à Kowalski un sac plastique.

– Qu'est ce que c'est ?

– C'est une variété particulière de pastèque, une plante fragile qui demande beaucoup de soin. Nous ne la cultivons qu'à petite échelle dans nos jardins. Les fruits sont de petite taille mais particulièrement savoureux, j'aimerais que vous y goûtiez.

– C'est très aimable à vous, Valdez, j'y goûterai avec plaisir... il fait une chaleur ces temps-ci. A présent je dois vous laisser, ma femme est sur le point d'accoucher et je voudrais être là à temps. Maintenant que tout est réglé plus rien ne me retient ici.

Il tendit la main à Valdez. Celle du porte-parole était moite et semblait molle face à la poigne énergique et décidée de Kowalski. Une poigne de gagnant qui une fois de plus avait gagné. Valdez, lui, ressemblait à un chien battu. Kowalski s'en fichait. Que lui importait que des cultivateurs de pastèques pouilleux restent pouilleux ? Les lois du marché étaient impitoyables, on ne faisait pas du « business » avec du sentiment. Et de toute façon, Kowalski n'aimait pas les chiens, battus ou non.



trzystu ton arbuzów oczekiwało akceptacji oferty Kowalskiego. Wieśniacy w końcu zrezygnowali – wszyscy zdawali sobie sprawę: Valdez, Kowalski, arbuzy... Przy panujących upałach za parę dni arbuzy nie będą nadawać się do sprzedaży.

– A więc, Valdez – zapytał Kowalski z lekką nutką zwycięstwa w głosie – podpisuje pan?

Podał pozłacane wieczne pióro. Valdez, z nieokreślonym grymasem na twarzy, wziął je i z ciężkim sercem podpisał.

– Doooskonale – rzekł Kowalski, zamykając pióro – oczywiście nie zapominam o pańskich 0,6 procentach. Valdez wydawał się nieobecny, rzekł głucho:

– Miałem nadzieję, że przyjmie pan nasze propozycje, przyniosłem to dla pana. Proszę przyjąć mimo wszystko.

Podał Kowalskiemu plastikową torbę.

– Co to jest?

– To specjalna odmiana arbuza, roślina delikatna wymagająca specjalnej opieki. Uprawiamy ją tylko na niewielką skalę w domowych ogródkach. Owoce są niewielkie, ale szczególnie smakowite, chciałbym żeby pan to skosztował.

– To bardzo uprzejme z pańskiej strony, Valdez, skosztuję z przyjemnością... przy dzisiejszym upale! Teraz muszę pana zostawić, moja żona będzie lada chwila rodzić i chciałbym zdążyć na czas. Skoro więc wszystko ustaliliśmy, będę leciał.

Wyciągnął rękę do Valdeza. Dłoń rzecznika była wilgotna i wydawała się miękka wobec energicznego i zdecydowanego uścisku Kowalskiego. Uścisku zwycięzcy, który po raz kolejny zwyciężył. Co do Valdeza, ten miał wygląd zbitego psa. Kowalski miał to w nosie. Co go obchodziło, że producenci tych zakichanych arbuzów sami są zakichani? Prawa rynku są bezlitosne; biznesu nie robi się z serca. A w dodatku Kowalski nie cierpiał psów, zbitych czy nie.

W drodze do samochodu Kowalski wybrał na komórce numer żony.

– Halo Marie-Rose? Jak się czujesz, kochanie?...



En se dirigeant vers sa voiture, Kowalski composa le numéro de sa femme sur son téléphone portable.

– Allô Marie-Rose ? Comment te sens-tu ma chérie ?... Que dit le médecin ? ... une semaine au maximum... paaarfait... Valdez ? Oui, il a signé... je rentre, je t'embrasse... moi aussi, à ce soir.

Kowalski monta dans sa voiture. Démarra. Se mit à siffloter au volant. Il allait enfin connaître les joies de la paternité. Quelle merveille que la science, pensait-il. En principe les Kowalski ne pouvaient pas avoir d'enfants mais un médecin américain, le professeur Blum, avait mis au point une méthode révolutionnaire grâce à laquelle Marie-Rose tomba néanmoins enceinte.

Des paysages désolés et déserts se succédaient. Des terres arides. Le futur papa traversa un village, ralentissant un peu l'allure de son véhicule. A la sortie du bled, une jeune femme coiffée d'un chapeau de paille faisait du stop. Elle sembla jolie à Kowalski. L'homme avait un faible pour tout ce qui lui semblait joli. Il ralentit, s'arrêta, fit marche arrière. Arrivé à hauteur de la jeune femme, il ouvrit galamment la portière. Il constata avec quelque regret qu'elle n'était pas aussi jolie qu'il ne l'avait cru au premier abord. Une simple paysanne du coin. Il accepta de la conduire à l'autre village, derrière la montagne. En montant dans la voiture, la jeune femme prit le sac plastique contenant la pastèque rare, le cadeau de Valdez, et la tint sur ses genoux. Il faisait chaud. Kowalski eut soif. Il remarqua la pastèque à sa droite.

– Si on la goûtait cette pastèque, señorita ? C'est une espèce peu connue paraît-il...

– Si vous voulez, dit la jeune femme.

– Tenez, poursuivit Kowalski, il y a un couteau dans la boîte à gants.

L'auto-stoppeuse se mit à fouiller l'endroit indiqué et finit par trouver ce qu'elle cherchait parmi les divers objets qui encombraient la boîte à gants. Elle planta la lame dans la pastèque pendant que la voiture pénétrait dans la Sierra. La route devenait sinueuse. Dans les courbes, les pneus crissaient légèrement.



Co mówi lekarz?... najwyżej tydzień... doooskonale... Valdez? Tak podpisał..., wracam, całuję... ja cię też... do wieczora!

Kowalski wszedł do auta. Zapalił motor. Zaczął pogwizdywać za kierownicą. Nareszcie zazna radości ojcostwa. Co za cudowna ta nauka, pomyślał. W zasadzie Kowalscy nie mogli mieć dzieci, ale amerykański profesor Blum, opracował rewolucyjną metodę, dzięki której Marie-Rose mimo wszystko zaszła w ciążę.

Mijał okolice smutne i wyludnione. Ziemie jałowe. Przejeżdżając przez jakąś wioskę, przyszyły ojciec zwolnił nieco pęd samochodu. Na skraju wsi młoda kobieta w słomianym kapeluszu machała ręką. Wydała się Kowalskiemu niebrzydka. Mężczyzna miał słabość do wszystkiego co wyglądało ładnie. Zwolnił, zatrzymał się, wrzucił wsteczny. Zatrzymując się na wysokości kobiety, otworzył z galanterią drzwi. Z pewnym żalem stwierdził, że nie była aż tak ładna, jak początkowo sądził. Zwykła miejscowa wieśniaczka. Zgodził się podrzucić ją do drugiej wioski, za wzgórzem. Wsiadając do samochodu, wieśniaczka wzięła plastikowy woreczek, zawierający ów rzadki arbuz, prezent od Valdeza, i położyła go sobie na kolanach. Było gorąco. Kowalskiemu chciało się pić. Spojrzał na arbuz po swej prawej stronie.

– A gdybyśmy tak skosztowali tego arbuza, señorita? To ponoć rzadka odmiana...

– Jak pan sobie życzy, odparła młoda kobieta.

– Dobrze, w schowku jest nóż, rzekł Kowalski.

Autostopowiczka zaczęła grzebać we wskazanym miejscu i w końcu – wśród niezliczonych rzeczy, zapychających schowek – znalazła, czego szukała. Wbiła nóż w arbuz, podczas gdy auto wjechało w góry. Droga stała się kręta. Na zakolach drogi opony lekko piszczały. Nagle coś wyskoczyło z krzaków, akurat na końcu zakrętu. Kowalski z refleksem, z całej siły, wcisnął hamulec. Kobieta krzyknęła.

– To nic takiego, señorita, zajęć czy coś w tym rodzaju; udało mi się go ominąć.



Brusquement, quelque chose bondit des taillis, juste à la sortie d'un virage. Kowalski eut un réflexe, il s'appuya de tout son poids sur la pédale de frein. La jeune femme poussa un cri.

– Ce n'est rien, señorita, un lapin ou une bestiole du genre, j'ai réussi à l'éviter.

– Señor... la voix de sa voisine tremblait.

– Qu'y a-t-il ? S'enquit le chauffeur. Il ralentit, jeta un coup d'oeil à sa passagère. Elle était blême.

– Ça ne va pas señorita ?

Le coeur de Kowalski partit au galop, il comprit. Son couteau de chasse était enfoncé dans l'estomac de la señorita. Le sang coulait. Elle perdit connaissance.

– Maudit lapin, siffla Kowalski. Il rangea sa voiture sur le bas côté, arrêta le moteur et d'un geste décidé retira le couteau. Il examina la blessure, l'entaille était profonde. Le sang coulait de plus belle. Il y en avait partout à présent. Kowalski n'aimait pas le sang. Il descendit de la voiture, en fit le tour, ouvrit la portière côté passager et prenant la blessée dans ses bras, la porta dans le fossé. Tout ce sang le répugnait. La jeune femme semblait dormir. Kowalski regarda autour de lui : pas âme qui vive. Il se gratta la tête, machinalement. Il tenta de réanimer la jeune femme.

– Señoria ! señorita ! Allons vous m'entendez ?

Il la secoua, elle ne bronchait pas. Kowalski se sentait de plus en plus mal à l'aise, tout ce sang. Et si elle était morte ? Se demanda-t-il ? Si je l'emmène et qu'elle claque dans ma voiture, ça fera des complications, interrogatoire, police... Tout cela ne présageait rien de bon et puis ce sang, ce sang. La jeune femme baignait en effet dans une mare rouge, sa tête penchait sur le côté, l'expression de son visage était paisible. Kowalski regarda encore une fois autour de lui. Non, personne n'avait pu le voir, il n'y avait rien ici. Il remonta dans son véhicule, lança le chapeau de paille sur la chaussée et démarra en trombe. Elle est sûrement morte ; pensa-t-il, je n'y suis pour rien c'est un accident.

Une semaine plus tard, Marie-Rose Kowalski sentait les premières contractions. L'échographie avait bien



– Señor... – głos sąsiadki drżał.

– Co takiego? – zaniepokoił się kierowca. Zwolnił, rzucił okiem na pasażerkę. Była blada jak papier.

– Coś nie tak, señorita?

Serce Kowalskiego łomotało jak w galopie. Zrozumiał. Jego myśliwski nóż sterczał wbity w żołądek señority. Leciął krew. Straciła przytomność.

– Przeklęty zając – syknął Kowalski. Zatrzymał wóz na poboczu, zgasił silnik i zdecydowanym ruchem wyciągnął nóż. Obejrzał ranę, była głęboka. Krew leciała coraz bardziej. Teraz była wszędzie. Kowalski nie cierpiał krwi. Wysiadł z auta, obszedł wokół i otworzył drzwi pasażerki. Wziął ją na ręce i położył w rowie. Ta krew go brzydziła. Młoda kobieta sprawiała wrażenie śpiącej. Kowalski rozglądał się – wokół ani żywej duszy. Machinalnie podrapał się po głowie; spróbował ocucić kobietę.

– Señorita! Señorita! Halo, słyszy mnie pani?

Potrząsnął nią, nie reagowała. Kowalski czuł się coraz bardziej niezręcznie, cała ta krew... A jeśli ona nie żyje? – pomyślał. Jeśli ją zawiozę i ona kipnie w moim aucie, to będą kłopoty, komplikacje, dochodzenia, policja... To wszystko bardzo źle się zapowiadało, i jeszcze ta krew, ta krew. Młoda kobieta w istocie leżała w kałuży krwi, głowa zwisała w bok, miała łagodny wyraz twarzy. Kowalski ponownie rozejrzał się wokół. Nie, nikt nie mógł go widzieć, nikogo tu nie było. Wsiadł do samochodu, wyrzucił słomkowy kapelusz na szosę i gwałtownie ruszył z miejsca. Ona z pewnością nie żyje, pomyślał. To był wypadek, ja nie mam z tym nic wspólnego.

Po tygodniu Marie-Rose poczuła pierwsze skurcze. Na echografii widać było wyraźnie, że to będzie chłopiec. Wioząc małżonkę do szpitala, Kowalski rozmyślał o swym synku. Nieco później chodził tam i z powrotem po poczekalni. Proponowano mu, by asystował przy przyjściu na świat swego potomka, ale nie zdecydował się na to. "Nie znoszę widoku krwi" – usprawiedliwiał się przed profesorem Blumem.

Teraz czuł niepokój. W zasadzie nie miał żadnego



montré que l'enfant à naître était un garçon. En conduisant son épouse à l'hôpital, Kowalski pensait à son fils. Un peu plus tard, il faisait les cent pas dans la salle d'attente. On lui avait proposé d'assister à la venue au monde de son héritier mais il n'y avait pu s'y résoudre. « Je ne supporte pas la vue du sang » avait-il déclaré au professeur Blum pour se justifier.

Maintenant, il était anxieux. En principe, Kowalski n'avait aucune raison de s'inquiéter et pourtant le futur père avait un étrange pressentiment. Une infirmière lui apporta un café. Kowalski, pour une fois, ne remarqua même pas qu'elle était fort jolie, pourtant elle l'était. Il ne fit pas attention, non plus au goût infâme du breuvage tiédasse qu'il avalait machinalement.

Enfin, après une longue éternité, le professeur Blum sortit de la salle d'accouchement. Pâle, la fatigue et le surmenage se lisaient dans les cernes sous ses yeux. Le médecin prit Kowalski par les épaules et le regarda avec cette sorte de pitié attendrie qu'affichent les disciples d'Hippocrate avant l'annonce de quelque pénible diagnostic.

– Il va falloir vous montrer courageux, Monsieur Kowalski, au dernier moment nous avons dû procéder à une césarienne... je... je ne comprends pas ce qui s'est passé, euh... il y a eu... comment vous dire un « petit problème »... c'est un accident, vous comprenez ?

– Non ! Je ne comprends pas ! Hurla Kowalski, pris soudain d'une rage désespérée.

– Calmez-vous Monsieur Kowalski, votre femme va bien, dit doucement Blum, c'est votre bébé qui... il ne put achever sa phrase. Il finit par ajouter :
Je n'y suis pour rien c'est un accident.

Au même moment, très loin de l'hôpital, quelque part sur la côte, un cargo faisait son entrée au port. Dans les entrailles du bateau, des tonnes de pastèques bien mures semblaient rire.

M



powodu do obaw, a mimo to przyszły ojciec miał dziwne przeczucie. Pielęgniarka przyniosła mu kawę. Kowalski, po raz pierwszy, nie zwrócił uwagi, że była bardzo ładna; a rzeczywiście była! Nie zauważył tego, jak też nie poczuł obrzydliwego smaku letniego płynu, który wypił machinalnie.

Czekanie wydawało się wiecznością. W końcu profesor Blum wyszedł z sali porodowej błdy. Zmęczenie i wysiłek dały się wyczytać z jego podkrążonych oczu. Lekarz wziął Kowalskiego za ramiona i spojrzał na niego z tym rodzajem łagodnej litości, z jaką patrzają uczniowie Hipokratesa zanim oznajmiam okropną diagnozę.

– Musi pan się uzbroić w odwagę, panie Kowalski: w ostatniej chwili byliśmy zmuszeni wykonać cesarskie cięcie... ja... ja nie wiem, co się stało, hmm... był... jakby to panu powiedzieć “mały problem”... to był wypadek, rozumie pan?

– Nie! Nie rozumiem! – ryknął Kowalski ogarnięty nagłą, beznadziejną wściekłością.

– Niech się pan uspokoi, panie Kowalski, pańska żona ma się dobrze – rzekł łagodnie Blum – to pańskie dziecko, które... – Nie mógł dokończyć zdania. W końcu tylko dodał: to nie moja wina, to był wypadek. W tym samym czasie, daleko od szpitala, gdzieś na wybrzeżu, handlowy statek wchodził do portu. Z jego czeluści zdawał się wydobywać chichot ton przejrzałych arbuzów.

M

(tłum. Piotr Mysłakowski)

From the series:

My Travels

Switzerland: Rapperswil

- The City of Roses

Agnieszka Thomassen



The Ghosts from the Past

The sound of a hammer slamming a piece of steel caught my attention. Echo of forged item was spreading around in a slightly “cramped” medieval town. Following the shrill sound I approached a low stone building with huge wooden doors that, usually, are closed with a massive bolt. Inside of a dark room, with my mind’s eye, I saw a strongman pounding on something that slowly took on a shape of a disc. Muscular Samson’s arm was pounding with full force in a two-horn anvil irritating my ears. All of the walls were covered with metal tools, nails, horseshoes, claws, swords, sabers, axes, and hammers. There were metal bowls, kettles, and cauldrons disposed on the shelves and on the floor. A dirty apron and the blacksmith’s gloves were hanging right next to the beautifully decorated gate that was leaning against the wall. Orange, red, and yellow streaks were waving to the beat of their own music, mesmerizing with their dance. The blacksmith was illuminated with a glow coming from the fire and looked like on one of the Rembrandt’s paintings. His radiant figure was distinguished from the background in warm

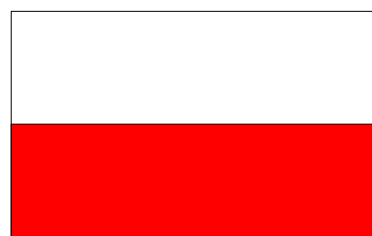
Z serii:

Moje Podróże

Szwajcaria:

Rapperswil - Miasto Róż

Agnieszka Thomassen



Duchy z przeszłości

Dźwięk młota uderzającego o kawał stali przykuł moją uwagę. Echo wykuwanego przedmiotu rozchodziło się w maleńkim, lekko „przyciasnym” średniowiecznym miasteczku. Podążając za przenikliwym dźwiękiem doszłam do niskiego kamiennego budynku z wielkimi drewnianymi drzwiami, które zazwyczaj zamykano na masywną zasuwę. W środku ciemnego pomieszczenia, oczami wyobraźni dostrzegłam niskiego mężczyznę-siłacza okładającego coś co powoli nabierało kształt tarczy. Umięśnione ramię Samsona waliło z całej siły w dwurożne kowadło, drażniąc moje uszy. Na wszystkich ścianach wisały metalowe narzędzia, gwoździe, podkowy, szczypce, miecze, szable, siekiery i młoty. Na półkach i na podłodze stały metalowe misy, kotły i kociołki. O ścianę oparta była pięknie ozdobiona furtka, przy której wisił brudny fartuch i rękawice kowalskie. W palenisku iskrzyły się gorące płomienie. Pomarańczowe, czerwone i żółte pasemka falowały w rytmie swojej własnej muzyki, hipnotyzując swoim tańcem. Kowal oświecony blaskiem z paleniska wyglądał jak na obrazie Rembrandta. Jego





brown and gold colors, clearly standing out from the surrounding darkness. Scent of metal and dust mixed with rust were wafting in the air in the low and wide chamber. Somebody was shoeing a neighing horse outside. The horse was so elegant in his slim but strong build that he probably was related to the family of five legendary mares of prophet Muhammad! Suddenly, I heard the gallop of horses' hooves hitting the stone street with a thud, way off in the distance. I decided to go to the mountainous part of the town to a XIII century castle, from which I heard the uproar.

Following a paved alley, I was walking by the buildings that were built closely, one next to the other, on the entire length of the street, on both sides of the narrow road. The town reminded me of a tight-fitting blouse, struggling to fill out the feminine curves with a very little fabric. The houses were built on such diverse mountainous area that they seemed to "wave" rising irregularly like a dress of a Spanish dancer. In some miraculous way, the narrow hills supported giant buildings. Everywhere timber-framed constructions filled with walls made out of bricks with visible brown or claret beams („fachwerkhaus"), and the churches created in Romanesque style were growing out of the ground. The houses of prayer also served as defense (the word "church" derived from Latin "castellum" means "fortified place"). Strongholds that looked like fortresses built out of wooden blocks diversified the architecture of the town with their barren structure with small window openings and narrow doors.

The life in medieval Rapperswil went on in its own rhythm. I imagined people bustling everywhere filling out their duties. In front of some of the houses chickens and pigs were running around. Some dirty farmer was holding a little goat in his arms. Behind him, a sturdy woman in a long skirt and an apron was churning butter in a large barrel-like looking churn. A teenage boy, with his hat put behind the belt of his



rozświetlona postać wybijała się na pierwszy plan w kolorze ciepłego brązu i złota, wyraźnie wyróżniając się z otaczającego go mroku. Zapach metalu i kurzu wymieszanego z rdzą unosił się z szerokiej, niskiej izby. Na zewnątrz ktoś podkuwał rżącego konia. Koń był tak elegancki w swojej smukłej lecz silnej budowie, że chyba pochodził z rodziny pięciu legendarnych klaczy Mahometa! Usłyszałam w oddali galop kopyt końskich, uderzających z hukiem o kamienną ulicę. Postanowiłam udać się w górzystą część miasta do XIII-wiecznego zamku, w którym panował harmider.

Idąc brukową alejką, mijałam budynki, które ustawione były szczelnie jeden koło drugiego na długości ulicy, po obu stronach wąskiej drogi. Domy były wybudowane na tak urozmaiconych terenach górzystych, że uliczka wydawała się „falować" unosząc się nieregularnie jak sukienka hiszpańskiej tancerki. W jakiś cudowny sposób wąskie pagórki utrzymywały potężne budowle. Wszędzie gęsto wyrastały z ziemi ryglowane ściany, wypełnione murem z cegieł, widocznymi brązowymi lub bordowymi belkami („fachwerkhaus"), oraz kościoły wykonane w stylu romańskim. Domy modlitwy sprawowały w przeszłości również funkcje obronne (słowo: „kościół" z języka łacińskiego: „castellum" oznacza „miejsce warowne"). Twierdze, które wyglądały jak fortece ułożone z drewnianych klocków urozmaicały architekturę miasta swoją surową strukturą z małymi otworami okiennymi i wąskimi drzwiami.

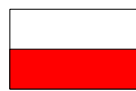
Życie w średniowiecznym Rapperswil toczyło się w swoim własnym tempie. Wyobraziłam sobie krzątających się wszędzie ludzi wypełniających swoje obowiązki. Przy niektórych domach biegały kury i świny. Jakiś brudny chłop trzymał w ramionach małą kózkę. Za nim w drzwiach domu stała dorodna kobieta w długiej spódnicy i fartuchu, namiętnie ubijając masło w wyglądającej jak beczka wielkiej maselnicy. Nastoletni chłopiec w krótkich spodniach,



pants, was walking out with a cow from the barn. In the building on the other side of the road, somebody was throwing dishwater out the window. Generally, there was a lot of stench hovering in the air coming from the animals and unwashed common people. The citizens looked like they needed a serious bath. Unfortunately, clean water and perfumes were the privilege of aristocracy.

While walking down the street, I imagined every corner of the area and the way of life of the people in the Middle Ages. I was getting closer to the castle located on the hill of the Old Town. I was walking on the narrow path sharply going up, in between the castle on my right hand side and a stonewall on my left. The path was steep and tight, and attached to the carb high walls were "cramping" the passerby. The castle was carefully taken care of with plants that were climbing its walls and flowers that were adjacent to the rocks at the foot of the castle. Giant, smooth rocks at the base looked like congealed lava. Something moved behind my back. Until then, in my vision of the medieval town, I imagined the farmers, craftsmen, and animals. Standing right next to the castle I missed a beautiful lady who would decorate the entire scenery.

I created a svelte and delicate lady, considered an ideal woman for medieval men, who could hardly keep her head straight. Her long, and covered with a white veil headdress in the shape of a cone, was a challenge in maintaining balance. Her burgundy, pleated, silk dress, braided with black and gold ribbon at the sleeves and the neck, was held from behind by another female. A dress, tied with a decorative rope, was close to the body at its top, and spread from the belt down and down the sleeves in the shape of a letter A. A long cape in juicy red color complemented beautifully her outfit. Her neck was ornamented with a necklace with some sort of a jewel, and a clasp with a chain connecting her external robe. An engraved medallion



z czapką włożoną za pasek, wyprowadzał krowę z przydomowej stodoły. W budynku na przeciwko ktoś wylewał pomyje przez okno. Ogólnie na ulicach rozchodził się smród zwierząt oraz niedomytych prostych ludzi. Mieszkańcy wyglądali jakby przydała im się porządna kąpiel. Niestety, czysta woda do mycia oraz wody perfumowane były przywilejem ówczesnej arystokracji.

Idąc kamienną ulicą, ilustrowałam w myślach każdy zakątek tej okolicy oraz sposób bycia ludzi w Wiekach Średnich. Zbliżałam się do zamku położonego na wzgórzu Starego Miasta. Szłam teraz wznoszącym się ostro w górę wąskim przejściem pomiędzy wysokim zamkiem z mojej prawej strony, a murem kamiennym po mojej lewej stronie. Ścieżka była stroma i wąska, a przylegające do krawężnika wysokie mury „krępowały” przechodnia. Zamek oblepiony był starannie pielęgnowanymi roślinami wspinającymi się po jego ścianie i kępami kwiatów przylegających do głazów u podnóża. Olbrzymie, gładkie kamienie wyglądały jak zastygła lava. Coś poruszyło się za moimi plecami. Do tej pory w mojej wizji średniowiecznego miasteczka pojawili się chłopci, rzemieślnicy i zwierzęta. Stojąc przy zamku brakowało mi pięknej damy, która ozdobiłaby cały ten krajobraz.

Do życia powołałam więc damę smukłą i delikatną, ideał ówczesnego mężczyzny, która z trudem utrzymywała głowę w pionie. Jej długie, zakryte białym welonem nakrycie głowy w kształcie rożka, było nie lada wyzwaniem w utrzymaniu równowagi. Jej mocno pofałdowana bordowa suknia z jedwabiu, obszyta czarną i złotą taśmą na rękawach i przy szyi była podtrzymywana z tyłu przez jakąś niewiastę. Suknia, przewiązana ozdobnym sznurem, była dopasowana w górnej części, rozchodząc się od pasa w dół i przy rękawach. Długa narzuta w kolorze soczystej czerwieni stanowiła piękne dopełnienie stroju. Szyję damy ozdabiał naszyjnik z klejnotem oraz klamra z łańcuchem



with green emeralds and blue sapphires, arranged in two layers at the edge and in the center of a circuit ornament, was attached to a gold pendant. I looked at the phantom-woman, who from obvious reasons, didn't look back at me. Two worlds, modern and medieval, were intertwining in one realm. I glanced at pallid face of the imaginary countess that, like a mask, didn't portray any enthusiasm. A serious petticoat was showing her emotions through diverse range of trained grimaces, expressing her desires and needs. By her side, mysterious Mona Lisa looked cheerful. Her shaved eyebrows and her trimmed haircut in the line from one ear to another, added to her serious apparition. Lady's bare, very high forehead was showing under the cap. The matron was walking ceremoniously down the street not paying any attention to a limping, emaciated beggar who smiled, showing his dirty teeth. Neat-looking lady-in-waiting who was holding the dress of her mistress, wore a modest but elegant dark green velvet gown adorned with a gold band around the neckline. Her dress was attached on one side of her hip, giving it a puffy shape. Her head was shrouded with white, starched cloth, partly covering the long, wavy hair. Her hair was pulled over the entire length with number of beads that looked like colorful garter snake. Her pointed shoes were gently stepping on the ground. Suddenly, the characters smudged, faded away, slowly disappearing from my view.

Reaching the top of the mountain, I felt sudden gust of fresh air that hit my cheeks with crystal coldness. The freshness of the down-slope wind – the mix of the wind coming from the mountains and valleys – freshened up my senses. I took a deep breath, savoring the smell of fresh breeze. We cannot find this type of air in our big, dirty cities that ruin our health with high saturation of heavy metals. At the moment, I thought of dirty Warsaw (Yes! Warsaw!) that, hopefully, would soon not become as polluted as Linfen -- the most contaminated city in the world located in China.



spinającym jej wierzchnią szatę. Do złotego wisiorka przyczepiony był wygrawerowany medalion z zielonymi szmaragdami i niebieskimi szafirami ułożonymi w dwóch warstwach rozchodzących się w centrum i przy brzegu okrągłego ornamentu. Zerknęłam na kobietę-zjawę, która z oczywistych powodów nie odwzajemniła mojego spojrzenia. Dwa światy, nowoczesny i średniowieczny, przeplatały się w jednym wymiarze. Spojrzałam na bladą twarz wyimaginowanej hrabiny, która niczym maska nie wyrażała żadnego entuzjazmu. Pełna powagi białogłowa okazywała swoje emocje poprzez różnorodną gamę wyćwiczonych grymasów, oznaczających jej zachcianki i potrzeby. Przy niej tajemnicza Mona Lisa sprawiała wrażenie rozbawionej. Poważnej aparycji dodawały młodej kobiecie ogolone brwi oraz włosy wycięte w linii ciągnącej się od ucha do ucha. Czepek ukazywał bardzo wysokie nagie czoło. Matrona szła ceremonialnie ulicą, nie zwracając uwagi na mizernego, kulejącego, wychudzonego żebraka, który uśmiechał się pokazując brudne zęby. Schludnie wyglądająca dama dworu, która podtrzymywała fałdy sukni swojej pani, miała skromną, ale elegancką suknię z ciemnozielonego aksamitu ozdobioną wokół dekoltu złotą taśmą. Suknia była podpięta z jednej strony na biodrze, nadając jej bufiasty kształt. Jej głowę osłaniała biała, wykrochmalona chusta, częściowo zakrywając długie, falujące włosy. Włosy były ściągnięte na całej długości szeregiem koralików, które wyglądały jak kolorowy wąż „pończosznik”. Jej szpiczaste ciżemki delikatnie stąpały po ziemi. Postaci nagle rozmazały się, wyblakły, powoli znikając z mojego pola widzenia.

Dochodząc na szczyt góry, poczułam gwałtowny podmuch czystego powietrza, które uderzyło mnie w policzki swoim krystalicznym chłodem. Świeżość wiatru „zboczowego” – mieszanka wiatru górskiego i dolinnego – orzeźwiła moje zmysły. Wzięłam głęboki oddech świeżości. Takiego powietrza nie znajdziemy w wielkich brudnych miastach, które oferują jedynie rujnujące nasze zdrowie, skoncentrowane metale





Places like Rapperswil are eye openers on the tools and possibilities that we have to clean the Earth. The words of a British traveller and nature lover, Sir David Attenborough, calling us “pests” came to my mind, A “Thinking Man,” whom we like to label ourselves, unfortunately, lowers himself to the level of weed, mite, and rats. I imagined our world without us, without the pests that occupy the Earth, and that use its goods without thinking of what will happen to it in 50 years.

I decided not to think about our grey, dirty future on our over populated, however still blue planet. I focused on the colorful and diverse scenery of the town – one of the few places on Earth -- still taken care of with great care. The view was breathtaking. Rapperswil stretched in front of me with all of its glory below the castle. Kilometers of sculpted mountains were cutting off the sky from the Earth with great precision, something that reminded of a cutout created by a 4 year old in the kindergarten. White pieces of paper glued to a blue cardboard looked like the mountaintops and green triangles resembled grassy slopes. Twisted, white tapers, like huge ice cream cones grew from the ground trying to touch the sky, reaching where our eyes cannot reach. Our beautiful Earth, Gaia, is an artist who always creates something new, moves the continents, bends the mountains, showing off soaring hilltops and deep valleys. I couldn't take my eyes off of the vineyards and pastures spreading alongside and across, above and below me, and on the mountainsides. Watching the surroundings from the height, I felt as if I was standing on the top of the world.

Pale characters of peasants showed up in the vineyard. Their hunched backs were bend while harvesting grapes. Perfectly parallel beds with grapevines added elegant contrast for the ragged mountains. The workers were dressed in simple,



ciężkie. W tym momencie przypomniła mi się zakurzona Warszawa (tak! Warszawa!), która mam nadzieję, nie dorówna wkrótce znajdującemu się w Chinach najbardziej zanieczyszczonemu miastu świata: Linfen. Miejsca takie jak Rapperswil otwierają moje oczy na nasze możliwości i narzędzia, które posiadamy do tego, żeby oczyścić naszą ziemię. Na myśl przyszły mi słowa brytyjskiego podróżnika i miłośnika przyrody Sir Davida Attenborough, który nazywa nas „szkodnikami” „Człowiek Myślący,” którym się tak bardzo lubimy nazywać, niestety zniża się według niego do roli szczurów, chwastów i roztoczy. Wyobraziłam sobie nasz świat bez tych szkodników, którzy korzystają z jego dóbr bez przemyślenia tego co się z nim stanie za 50 lat.

Postanowiłam choć przez chwilę nie myśleć o szarej, brudnej przyszłości na naszej przeludnionej, ale jeszcze niebieskiej planecie. Skupiłam się na kolorowym i urozmaiconym krajobrazie miasteczka – jednym z ostatnich miejsc na ziemi – wciąż pielęgnowanym z wielką troską. Widok zaparł dech w mojej piersi. Rapperswil rozciągał się przede mną w całej swojej okazałości poniżej wzgórza zamkowego. Kilometry wyrzeźbionych gór starannie odcinały ziemię od nieba, co przypominało wycinankę wykonaną przez czterolatka w przedszkolu. Białe ścinki papieru przyklejone na niebieskim brystolu przypominały szczyty górskie, a zielone trójkąty przedstawiały trawiaste zbocza. Zakręcone stożki – jak wielkie lody – wyrastały z ziemi, starając się dotknąć nieba, sięgając gdzie wzrok nie sięga. Nasza piękna ziemia-Gaja jest plastycznie uzdolnioną artystką, która zawsze tworzy coś nowego, porusza kontynenty, wygina góry, ukazując strzeliste szczyty i głębokie doliny. Nie mogłam oderwać wzroku od winnic i pastwisk, które rozpościwały się wzdłuż i wszerz, od góry do dołu na ścianach stoku. Obserwując wszystko z wysokości, czułam, że stoję na „szczycie świata”.



They were tied with ropes, knee-length linen shirts. Some of them wore hoods with elongated fronts. A feudal lord was giving them instructions of how they should do their job, pointing to something with a long stick. The peasants had their hands full of work just because of the food preparation and other responsibilities that were done for the lords, absorbed their entire time and energy. Among their duties was cultivation of all of the land, however, they had to pay an additional fee for the part they leased. Life in the lowest social class was hard; the peasants were downtrodden and lived like slaves. Saddened by their plight and misery, I looked at cottages and Capuchin Monastery that were visible at the shore of Lake Zurich. Bearded Capuchins were carefully clipping hundreds of roses in the rose garden. Until today the city of Rapperswil is called the City of Roses („Rosenstadt”) thanks to their beautiful work. I observed the hard working ghosts in the fields that were slowly disappearing, becoming long, white phantoms sucked into the feathery clouds in the high mountain range.

Beauty of grey Alps with snowy tops that looked like a Polish “Carpathian cake” absorbed my attention. The mountains surrounded the town just like the forest surrounds a bird nest, creating a shelter for its inhabitants. At the bottom of the mountain a bridge built by the Romans on the Lake Zurich connected the Hurden village (in Schwyz canton) with Rapperswil (in Sankt Gallen canton). The Rapperswil Castle towered like a colossus dominating the smaller houses. Even tall trees seemed not to reach to the top of the sloping roof. All the time the noise in the castle disturbed the peace of the idyllic surroundings. The gate had suddenly opened. The ghosts from the past had returned.

Giving shape for the remote times I visualized hunting dogs running gracefully around in front of the castle, surrounding their owners, and barking at the top of their lungs. The riders looked like on some



Blade postaci z przeszłości, tym razem chłopów, pojawiły się w winnicy. Ich zgarbione ciała uginały się podczas zrywania winogron. Perfekcyjnie równoległe grządki z krzakami winorośli dodawały eleganckiego kontrastu potarganym górcom. Robotnicy byli ubrani w proste, sięgające kolan, przewiązane sznurem lniane koszule. Niektórzy mieli głowy nakryte kapeluszami z wydłużonym przodem. Jakiś feudalista dawał im wskazówki jak mają wykonywać swoją pracę, pokazując coś długim kijem. Chłopi mieli ręce pełne roboty, gdyż przygotowanie pożywienia i inne czynności, wykonywane dla lordów, pochłaniały cały ich czas i energię. Ich obowiązkiem była uprawa całej ziemi, a za część, którą dzierżawili musieli dodatkowo płacić czynsz. Życie w najniższej warstwie społecznej było trudne, chłopi byli uciskani i żyli prawie jak niewolnicy. Zasmucona ich losiem i niedolą zerknęłam na wiejskie domki oraz Klasztor Braci Kapucynów, które widniały nad brzegiem Jeziora Zuryjskiego. Brodaci Kapucyni starannie przycinali setki róż w ogrodzie różanym. Do dzisiaj miasto Rapperswil nazywane jest Miastem Róż („Rosenstadt”) właśnie dzięki ich pięknej pracy. Przypatrywałam się harującym na roli duchom, które zaczęły znikać, stając się długimi, białymi upiorami wciąganyymi w pierzaste chmury, w wysokiej krainie górskiej.

Uroda szarych Alp ze śnieżnymi szczytami, które wyglądały jak ciasto Karpatka, pochłonęła całkowicie moją uwagę. Góry otaczały miasteczko jak las ptasie gniazdo, tworząc naturalne schronienie dla swoich mieszkańców. W dole drewniany most wybudowany przez Rzymian na Jeziorze Zuryjskim łączył wioskę Hurden (w kantonie Schwyz) z Rapperswil (w kantonie Sankt Gallen). Zamek Rapperswil niczym kolos górował nad wszystkim wokół, dominując nad dużo mniejszymi domami. Nawet wysokie drzewa wydawały się nie sięgać do wierzchołka skośnego dachu. Hałas w zamku zakłócał spokój sielskiej okolicy. Nagle otworzyła się brama.



painting, en fete, colorful, as if they expected some important guest. Their horses – hunters' best friends – with various coat coloring wore exquisite horse tack. The bridles of the horses were green or red, intertwined with gold elements, and saddle blankets looked like painted skirts. The parade was mimicking a theatre spectacle. Everybody, including the dogs, was waiting impatiently for the upcoming attractions of hunting for, not expecting anything, helpless animals. Some of the hunters, wearing the Cracow shoes, and simple clothes with wide hoods – arranged into thick folds on their shoulders like pancake dough – were walking on foot. Some of them were equipped with bows and arrows, and others had shields and spears. Hunting was done mainly for recreation purposes for the aristocracy and was not motivated by the need to survive. People hunted in Switzerland mainly for ibex, deer, and chamois. The hunters drove off in the distance, leaving dust and echo of all of the tumult. Another spirits sunk into the ground.

Taking advantage of inattention of the riders, I slipped in the castle through an open gate...

Traveling in the Time Machine

I found myself in a dark, small chamber with a low ceiling in the castle built in 1220. I felt the cold and must coming out of spaces from between the big rocks. Cold air, squeezing through the cracks of the old walls, was viciously rubbing my neck. The room reminded me of the deepest layers of my subconscious mind constituting of black nothingness and depth without an end. Endless abyss of collective consciousness that hides various mysteries passed on to us by our ancestors often contains colorful images but, sometimes, it is just dark and empty expanse. A journey into my subconscious is often like an intergalactic expedition, during which the unimaginably vast spaces are nothing more than darkness without any star. I could swear that



Powróciły duchy z przeszłości.

Nadając kształt zamierzczłym dziejom obrazowałam gończe berneńskie wybiegające ze swoistą psią gracją na plac przedzamkowy, otaczając swoich panów, szczekały wniebogłoso. Jeźdźcy wyglądali jak na jakimś malowidle, odświeżenie, kolorowo, jakby oczekiwali na przyjazd jakiegoś ważnego gościa. Ich konie – najlepsi przyjaciele myśliwych – o różnym umaszczeniu, miały na sobie ozdobne rzędy końskie. Ogłowie koni było zielone lub czerwone, przeplatane złotymi elementami, a czapraki wyglądały niczym malowane suknie. Parada przypominała spektakl w teatrze. Wszyscy, włącznie z psami, oczekiwali z niecierpliwością na nadchodzące atrakcje związane z polowaniem na niespodziewającą się niczego bezbronną zwierzynę. Panowie mieli na sobie aksamitne bordowe lub zielone tuniki zdobione złotą nitką na rękawach, pod którymi nosili białe koszule z lnu. Naganiacze, w ciżemkach ze skóry, w prostym odzieniu z obszernymi kapturami – układającymi się gęsto w fałdy na ich ramionach niczym lejące się ciasto naleśnikowe – szli na piechotę. Niektórzy byli zaopatrzeni w łuki i strzały, inni mieli przy sobie tarcze i włócznie. Polowanie stanowiło rozrywkę dla arystokracji i nie wynikało z konieczności przetrwania. W Szwajcarii polowano głównie na koziorożce alpejskie, sarny i kozice.

Łowcy odjechali w siną dal, pozostawiając po sobie kurz i echo tego całego zgiefku. Kolejne duchy zapadły się pod ziemię. Pod nieuwagę jeźdźców, wślizgnęłam się przez otwartą bramę do zamku...

Podróż w wehikule czasu

Znalazłam się w ciemnej, małej komnacie, z niskim sufitem w zamku wybudowanym w 1220 roku. Czułam chłód i stęchłą wydobywającą się z wielkich kamieni. Zimne powietrze, przeciskając się przez



someone whispered my name: „Aga... Aga...” I felt claustrophobic and wanted to run away as soon as possible. Touching the walls blindfolded, I discovered a large, wooden, and moist door that I opened with a squeak. I heard people, carriages, and children playing in front of the castle. I rushed into another chamber in which the spiral stairs in a narrow corridor ascended sharply to the next floor. The candles burning in tall, thin candleholders were occasionally shedding the light on the stone floor. Climbing the staircase, I could hear my breath. I was walking faster and faster. I ended up in another room with a huge, wooden table, with tall chairs standing by its side. Their armrests looked like large birds holding the seated people. There was a built in fireplace on the right hand side that could easily encompass 10 grownups. The candles were burning down in a round, colossal, steel chandelier that was hanging above the table. The atmosphere in the room was dark and suffocating. Animal skin and fur were dumped on the chairs and on the floor. Black, steel, decorative elements were overwhelming with their heavy elegance.

cdn
AT



szpary starych murów, zawzięcie nacierało mi szyję. Pomieszczenie przypominało mi moje najgłębsze warstwy podświadomości, będące czarną nicością i głębią bez końca. Otchłań świadomości zbiorowej, która ukrywa różne tajemnice przekazywane nam przez naszych przodków jest często wypełniona kolorowymi obrazami, ale czasami jest tam mrocznie i pusto. Podróż w moją podświadomość jest niejednokrotnie jak międzygalaktyczna wyprawa, podczas której niewyobrażalnie olbrzymie przestrzenie stanowią bezgwiezdną ciemność. Mogłabym przysiąc, że ktoś wyszeptał moje imię: „Aga... Aga...” Poczułam się klaustrofobicznie i chciałam jak najszybciej stamtąd uciec. Dotykając ścian po omacku, odkryłam masywne, drewniane, lekko wilgotne drzwi, które otworzyły się ze zgrzytem. Na placu przed zamkiem usłyszałam ludzi, furmanki i bawiące się dzieci. Podążyłam w kierunku odgłosów, które dochodziły z zewnątrz. Wybiegłam do kolejnej komnaty, w której znajdowały się kręte schody w wąskim korytarzu wznoszącym się stromo na następne piętro. Świece w cienkich, wysokich świecznikach rzucały okazjonalnie blask na kamienną podłogę. Wspinając się po schodach, słyszałam swój oddech. Szłam coraz szybciej. Znalazłam się w kolejnej sali, w której stał olbrzymi drewniany stół z wysokimi krzesłami. Zamiast oparć miały one wyrzeźbione ptaszyska, które podtrzymywały swoimi skrzydłami siedzących ludzi. Po prawej stronie stał wmurowany w ścianę kominek, w którym mogłoby się schować co najmniej 10 osób. Nad stołem wisiał potężny, okrągły, stalowy żyrandol, w którym dopalały się świece. Nastrój w pomieszczeniu był ciemny i duszny. Na posadzce i na krzesłach porzucana była zwierzęca skóra i futra. Czarne stalowe elementy ozdobne przytłaczały swoją ociążałą elegancją.

cdn
AT

